

Rok VI.
Kraków, dnia 10 marca 1913 r.
Nr. 10.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

POST.

Wiadomo powszechnie, że dawniej posty były ściślejsze, aniżeli dzisiaj. Obecnie Kościół święty, widząc, że ludność jest coraz słabsza a praca coraz cięższa, udziela obszernych dyspenz, tak że teraz znany jest post wielu ludziom prawie tylko z nazwiska. Post ścisły ma swój początek od piątego stulecia, kiedy go nakazano na czterdzieści dni bezpośrednio przed Wielkanocą, na pamiątkę postu i męki Jezusa Chrystusa. Później złagodzono go o tyle, że wzbroniono tylko mięsa i to zaledwie trzy dni w tygodniu.

Dawniej był post tak surowy, że ani mleka, ani masła nie wolno było używać a wszelkie przekroczenie przepisów ostro bywało karane. W Czechach wyrywano podobno za to zęby, w Angers powieszono nawet pewnego mieszczanina, bo jadł w piątek mięso. Dlatego, że przyznał się do winy, darowano mu »podsmażanie« na stosie, lecz śmierć ponieść musiał. W r. 1629 ścięto w Paryżu pewnego człowieka, który w poście ukradł kawał końskiego mięsa oprawcy i zjadł je na ulicy. Rzeźnicy, którzy sprzedawali w wielkim poście mięso, musieli stać pod pręgierzem z owiniętemi wkoło szyi flakami zarzniętego zwierzęcia.

Później karano przestępców łagodniej — kazano im chodzić po mieście z surową szynką lub ćwiartką skopu na ramieniu. Nawet księżnie Bern zabrano w r. 1746 wszelkie mięsiwa, nagromadzone potajemnie w zamku na »smutne dni postu«. Jeden z zakonników dowiedział się o tem i księżna pościć musiała.

Post u katolików nie jest z żadnych innych względów nakazany, ale tylko dla umartwienia ciała i dla wypróbowania posłuszeństwa wśród wiernych.

Inaczej rzecz ma się jednak u żydów. Im Mojżesz zakazał jedzenia wieprzowiny, ponieważ żydzi żyli w krajach ciepłych, a wszelkie tłuszcze spożywane wśród gorąca sprowadzają dolegliwości żołądkowe. Żydzi, rozszedłszy się po całym świecie, zakaz Mojżesza jedzenia wieprzowiny zachowali aż po dni dzisiejsze.

Pogańscy Pytagorejczycy nie zabijali zwierząt i nie jedli ich mięsa jedynie dlatego, że wierzyli w wędrówki duszy. Twierdzili oni bowiem, że dusza człowieka zmarłego wstępuje w zwierzę i w niem za pokutę przebywa.

Niektóre ludy w Południowej Ameryce uważają do dziś dnia węże i rozmaite ryby za stworzenia obdarzone duszą i nie jedliby ryb tych za nic w świecie.

Spożywanie pewnych gatunków mięsa wywołuje podług przekonania niektórych ludów, kalectwo, i tak nie jedliby murzyni z wybrzeża Longo pod żadnym warunkiem mięsa kozy, dlatego, że czarna skóra ich ciała popękałaby i stałaby się szarą, jedzenie zaś kur spowodowałoby kompletną stratę włosów. Czarnych ptaków na wyspach Karolińskich nie jedliby tamtejsi mężczyźni nigdy — każdy bowiem spadłby z drzewa, gdyby zrywał orzechy kokosowe — kobietom natomiast wolno jeść to mięso, gdyż one na drzewa wchodzić nie potrzebują. Karybijscy mieszkańcy nowego świata, sądzili, że jedząc wieprzowinę, dostaną tak małe oczy, jak zwierzę, które zjedli, murzyni zaś w Brazylii nie jedzą nigdy mięsa sarny lub jelenia dlatego, że dzieci ich miałyby nogi źle zbudowane i za wielkie uszy.

Najprzebieglejszym narodem, jeżeli chodzi o obejście jakiegoś uciążliwego obowiązku, są bezsprzecznie Niemcy. Otóż za czasów św. Bonifacyusza nie wolno było gotować mięsa razem z »zielonemi« jarzynami. Niemcy więc, aby zakaz obejść, gotowali wieprzowinę z grochem i zdawało się im, że przepisu nie przekroczyli.

Podobnie dzieje się i u nas obecnie. Niejeden je kilka razy do sytości, wprawdzie bez mięsa, i zdaje się mu, że pości, podczas gdy w poście wolno tylko raz na dzień jeść do syta.

Jacek Obrochta.

Opowiadanie starego górala.



W ciężką zimę, gdy Kasia Jasiowa
Z Ochotnicy do domu wracała,
Na rozdrożu dwa dziewczątka małe
Samiusienkie — pod drzewem spotkała.

Stały w śniegu, tuż przy kraju lasku,
Przytupując z zimna nożętami,
A nad nimi w górze, na obrazku
Smutny Jezus widniał za ramkami.

Młodsze dziecko w chusty otulone,
Na malutkich saneczkach siedziało,
I w ponury krajobraz wpatrzone,
Łzy, płynące z oczek — połykało.

Jej siostrzyczka — czteroletnia może,
Stała, płacząc, zziębnięta, strwożona...
Bo wszak się już ściemniało na dworze...
Mróz i wicher i głód je pokona.

Tu, pod drzewem białem z siędzieliny —
Przystanęła razem z saneczkami...
Tu czekają obiedwie dzieciny,
Płacząc: — »Boziu zmiłuj się nad nami!«

— »Ach mój Jezu!.. dzieci opuszczone!
W śniegu stają, płaczą, ledwo żywe!...
Tu na pastwę losu zostawione...
Ach, istotki małe, nieszczęśliwe!...

Ach, sierotki! bez ojca, bez matki,
Nędzne, głodne, z zimna posiniałe,
Pójdźcież do mnie! Pójdźcie biedne kwiatki!
Nie bójcie się — okruszynki małe!...«

Bóg sierotkom zesłał zlitowanie;
Nie uświerkną w tej grozie zimowej,
Zesłał dziatkom Anioła, w postaci
Czułej Kasi, małżonki Jasiowej.

Ona dzieci zabrała do siebie,
Przygarnęła do czułego łona;
A jej litość widział Bóg na niebie...
Będziesz Kasiu za nią nagrodzona!

Boć to, Panie, własne słowa Twoje:
— »*Ktoby przyjął — z tych, co ja miłuję,*
Choćby jedno dziecię w Imię moje,
Mnie Samego pod swój dach przyjmuje«.

A tak właśnie Kasia uczyniła,
Wypełniła Boże przykazanie,
Tych sierotek dwoje przytuliła,
I karmiła i chuchała na nie.





Zastąpiła im matkę rodzoną,
Cap zastąpił ojca rodzonego,
Więc był z nimi Pan, bo tu spełniono
Świętą Wolę Ojca niebieskiego.

I szczęściło się w polu, w oborze;
Cap stodółkę i stajnię przystawił,
Był dobytek i grosik w komorze,
Miłosiernym Pan Bóg błogosławił.

Raz śród grzmotów i wichury,
Gdy świat zdawał się kotłować,
Wszedł w ich progi człek niektóry,
Prosząc, by go przenocować.

Zlitowali się oboje
Nad zziębniętym starowiną,
Dali mu odwieczerz swoją,
Nakryli własną pierzyną.



Kasia tak się użaliła
Doli starca nieszczęsnego,
Że z ócz się jej łza stoczyła
I padła w dłoń podróżnego.

Kto nad biednym łzę uroni,
Tego serce Bóg ocenił,
I tę łezkę w starca dłoni
W przecudną perłę zamienił.

Kiedy starzec dnia drugiego
Żegnał ich gościnną chatę,
Rzecze: — »Bóg dla domu tego
Zgotował miłą zapłatę...

Zna On waszych serc zgryzotę,
A widział starania o mnie...
W nagrodę za waszą cnotę
Nie zejdziecie bezpotomnie«...

I w tem perłę im podaje:
— »Weźcie! — a dziś przed obrazem
W chwili, kiedy noc nastaje,
Anioł Pański zmówcie razem.

Potem połknij tkliwa żono
Tę perełkę... nie inaczej;
Za rok — tak postanowiono
Pan Bóg synem was opatrzy«.

I odeszedł. — Jego mowa
Ukoiła serc tęsknoty...
Minął rok — a starca słowa
Spełniły się co do joty.

Tak jest! Wróżba starca się ziściła:
Gdy stopniały w górach śniegi białe,
Kołyseczka w chatce się zjawiła,
A w kołysce dzieciąteczko małe.

Kasia syna powiła mężowi!
I Cap chodzi z wesołem obliczem,
A ludziska radzi dzieciątkowi —
Przezwali je zaraz »Perłowiczem«.

Był ten Perłowicz już w młode latka
Dzielny jak ojciec, tkliwy jak matka,
I ładny przy tem... rzekłbyś: krew z mle-
[kiem!...
Niedużym jeszcze będąc chłopczykiem,

Pasał owieczki hen, pod Bystrzykiem
Z Ludką sierotką, co się chowała
Z nim razem w chacie rodziców jego.
(Starsza Magdalena już się wydała
Za Prysia, gazdę z Sącza Starego.

Tak — pasąc owce z Ludką sierotą,
Co serce miała — jak szczere złoto,
Często nasłuchał się z ust dziewczęcia,
Bajek cudownych nie do pojęcia,
Powiastek rzewnych, lub pełnych grozy
O tym mocarzu — co rwał powrozy,
Dęby wyrywał i walił góry,
I o przygodach królewskiej córy
Lub o Walgierzu Wdałym, lub owym
Żyjącym w Tatrach Królu Wężowym.

Ludka, usiadłszy na skalnym złomie,
Prawiła gadki, patrząc w dal siną;
On jej powieści słuchał łakomie,
Prosząc: — Mów jeszcze słodka dziew-
[czyno!



Tak — pasąc owce z Ludką sierotą,
Chłonąc czar w siebie górskiego świata,
Rósł nasz Perłowicz — i tak mu oto
Zbiegły szczęśliwie dziecięce lata.

C. d. n.

„Saksiaki“.

Nadchodzi czas wyroju — lecz nie pszczół, bo te roją się w lecie — lecz obieżyświatów czyli inaczej »saksiaków«. Serce się ściska, patrząc na te tłumy, które, zaledwie przezimowawszy między swoimi, ciągną aby obcym, a niestety wrogom, uprawiać rolę i służyć, porzuciwszy swój własny zagon, który z braku rąk do obrobienia go, zarasta zielskiem i chwastami. I jak tu ma być dobrze w tej naszej biednej Galicyi i jak nie ma panować drożyzna i bieda, skoro dziesiątki, setki i setki tysięcy najlepszych, najsilniejszych rąk opuszcza rok rocznie ten biedny kraj i ciągnie niby za zarobkiem, a właściwie za wyuzdaną swobodą, a w kraju zostają tylko ci, którzy nie zdołają władać motyką, sierpem, kosą ni grabiami. Często też zdarza się widzieć w polu starców, jak z wysiłkiem a niedostatecznie pracują w polu; a na zapytanie: Dlaczego sami tak się mozolą, odpowiadają z rezygnacyą: Ha, trudno! młodzi i silni poszli w świat, a my musimy sami jako tako grzebać w tych zagonach, bo szkoda przecie, aby to ugorem leżało całkiem zaniedbane. A nie trudno też zobaczyć całe pole leżące odłogiem dla braku rąk do pracy. Z jednej strony wszyscy nawołują, abyśmy nic nie kupowali od Prusaka, a z drugiej dajemy mu to, co mamy najlepszego w kraju, dajemy mu tysiące rąk najzdolniejszych do pracy, aby te ręce uprawiały mu starannie rolę, aby mu pracowały we fabrykach, aby dobrobyt tych wrogów naszych wzrastał, nie pomni, że przez to najlepiej przyczyniamy się do ich potęgi, sobie zaś gotujemy upadek.

Nasze szkoły zawodowe świecą pustkami, bo poco taki wyrostek 14- lub 16-letni ma się uczyć, jak pracować u swoich i na własnym zagonie, kiedy on woli pójść do »Saksów« a tam nauczą go jak uprawiać rolę i z bydłem obchodzić się należycie. A przy tem nauczy się też i takich rzeczy, których nie nauczyłby się pewnie w szkole! zażyje swobody, z dziewkami nadokazuje, zatraci wiarę i sumienie, zatraci poczucie narodowe i nikt mu złego nie zgani; zarobi nadto kilkadziesiąt marek, a choć parę miesięcy żyje jak bydlę, to gdy na parę tygodni wróci do ojczystej zagrody, ledwie go ojciec i matka poznają, taki z niego kawaler obywały; przy zegarku, z łańcuszkiem na brzuchu, przy parasolu i papierosie. Spracowany w »Saksach«, bo mu tam pewnie za darmo nie płacą, odpoczywa, resztki przyniesionego zarobku z kamratami i kamratkami przepija, a wydychawszy tę saksońską mordęgę, wyczekuje, rychło znów na nową wędrówkę będzie czas wyruszyć.

A nasze dziewczęta polskie, o których nawet nasi poeci tak pięknie pisali? I one, niestety, owładnięte tą manią włóczęgowo-zarobkową, idą jak owce bezmyślne na urągowisko i poniewierkę pomiędzy obcych, a często zdarza się, że oprócz marnych marek, przynosi do kraju i małego Prusaka, którego potem pobłażliwa matuś pielęgnuje, aby przypadkiem ten potomek krzyżacki nie zmarniał. Dochodzi do tego, że w niektórych wioskach nie ma kto nieść, w czasie świątecznej procesyi, feretronów i obrazów i nosić je muszą znów stare kobiety, bo dziewice za zarobkami w »Saksach« i wianki pogubiły. Ale niejeden może powie: Ha, trudno — idą one tam dla chleba, bo w kraju pracy brak. Takiemu to powiem wprost: Kłamiesz bracie! bo zaproponuj takiej zwleczonej wyrobnicy n. p. służbę choćby w bardzo porzadnym i zamożnym domu, to ci się w głos rozśmieje i za żadną cenę nie pójdzie, bo na służbie porządnej dbają nietylko o materyalne, ale i o moralne potrzeby, a ona tego nie chce; chce być swobodną, aby jej postępków żadne życzliwe oko nie kontrolowało, chce żyć jak bydlątko. Od dozorcy pruskiego najohydniejsze wyzwiska przyjmie z uśmiechem a i kułaka bez szemrania, ale zato pani czy gospodyni swej, gdy służy tu w kraju, na każda słuszną uwagę tak z gębą stanie, że aż jej w oczach pociemnieje. A teraz policzmy te korzyści, wypływające z wychodźtwa do Prus. Pod względem moralnym: upadek wiary i zatracenie poczucia narodowego, upadak obyczajów i demoralizacya w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Pod względem materyalnym: upadek gospodarstwa, a co za tem idzie, drożyzna i nędza w kraju. Marnowanie najlepszych sił młodości i przedwczesny upadek tychże. Choroby zaraźliwe często stamtąd przynoszone. — A pożytek z tego Prusakom i żydom, bo grosz tam krwawo zarobiony, w większej części w ich ręce przechodzi na alkohol, szmaty i tym podobne wydrwigrosze.

Z trwogą więc spoglądać należy w przyszłość, i jeżeli nie znajdzie się jakaś rada na ten niezdrowy objaw, jakim jest ta masowa, coroczna emigracya, to w niedalekiej przyszłości smutne następstwa czekają kraj i społeczeństwo nasze.

T. N.

POKUTA,

(Fantazya).

Przebrzmiały echa karnawału głuche, czas pomknął i zniknął w niepamięci fali, a z wieży kościelnej woła dzwon na skruchę, ażeby uciech wszyscy zaniechali.

Lud cichy zebrał się w nawie kościoła, głowy święconym posypał popiołem i przed Panem zastępów kornie chyli czoła, aby mógł dalej pracować z mozołem.

I cisza wielka zaległa ołtarze, że słychać nawet modlitwy szept cichy, a kiedy spojrzysz na te smutne twarze, poznasz, że one zniosą i cierpień kielichy.

O! bo ta wiara świętym dla niego dogmatem, to poważne, urocze, tajemne obrzędy i w tym czasie pokuty brat jedna się z bratem, a miłość wspólna roztacza się wszędy.

A chociaż wiosny zarzewie się zbliża, wszelkie żywioły zbudzą się do życia, jednak słychać pokutne serc bicia, bo w tym czasie Chrystusa przybito do krzyża.

Do niebios płyną ciche modlitwy pokutne do Tego, co za ludzkość konał na Golgocie, a On pocieszy, utuli te oblicza smutne i w dniu świtania ześle im łask krocie.

A gdy czas pokuty minie ponury, jak wszystko mija na ziemi, nasz »orzeł biały« hen, aż pod chmury popłynie skrzydły promiennemi.

A gdy czas pokuty minie, wstaną uśpione rycerzy roje, a z nimi wolność złota wypłynie, powiedzie ludy na święte boje.

Bo ten pokuty czas długi jutrzenkę zrodzi wolności, miłość wzajemną zciągnie nad strugi, nad wiejskie chaty i włości.

Dzień zmartwychwstania zawita i brat połączy się z bratem — wolności gwiazda zaświta nad naszym krajem — »bogatem«.

J. Jarmuła.

Książę Biskup Adam Sapieha.

Z głęboką czcią i gorącem sercem powitał Kraków przybywającego w piątek, dnia 1 marca, nowego swego arcypasterza księcia-biskupa Adama Sapiehę. Uroczystości powitania towarzyszyła cudownie piękna, wiosenna pogoda, jakby niebo błogosławiło dzień rozpoczęcia rządów przez nowego biskupa w dyecezyi krakowskiej. Miasto na uroczystość przystroiło się odświętnie; mnóstwo chorągwi o barwach narodu i miasta zwisało z kamienic, kościołów i budynków miejskich. O godz. 2 min. 20 popołudniu pełny był dworzec kolejowy dostojników i przedstawicieli duchownych, świeckich i wojskowych. W przybranej kwiatami sali cesarskiej na dworcu powitał księcia biskupa prezydent miasta Dr. Leo, na co nowy arcypasterz serdecznie odpowiedział. — Nastąpił wjazd do miasta w otoczeniu banderyi krakusów na koniach, przy udziale licznych przedstawicieli władz. Nasamprzód wstąpił książę-biskup do kościoła Najśw. Panny Maryi w Rynku, gdzie się pomodlił i przemówił do tysięcy wiernych, zapewniając, że pod opieka Matki Boskiej pracować będzie dla dobra swych ukochanych parafian. Potem odjechał do pałacu biskupiego, gdzie powitała go kapituła katedralna.

Dnia 3 marca, w niedzielę, znowu przy ślicznej wiosennej pogodzie, odbył się ingres do katedry na Wawelu, to jest uroczysty obchód wstąpienia nowego arcypasterza na przesławny tron biskupów krakowskich. Dawno Kraków nie miał w swych murach tylu dostojników duchownych i świeckich, co w owym dniu. Przybyli wszyscy rzymsko katoliccy biskupi z Galicyi z arcybiskupem lwowskim Bilczewskim, arcybiskup ormiańsko-katolicki Teodorowicz, dwóch biskupów ruskich z Przemyśla i Stanisławowa. Dalej przybyło trzech ministrów Polaków: Dr. Biliński, Dr. Zaleski i Długosz. namiestnik Bobrzyński, marszałek krajowy hr. Badeni i wielu jeszcze dostojników.

W oświetlonej rzęsiście katedrze na Wawelu, wobec ministrów, dostojników duchownych, świeckich i wojskowych, przedstawicieli starodawnych polskich rodów, mieszczaństwa i ludu nowy książę-biskup usiadł na tronie przed głównym ołtarzem i przywdział szaty biskupie. Kanclerz konsystorza ks. Nikiel odczytał bullę (pismo) Ojca św., w którem Papież w słowach tchnących miłością do narodu polskiego i uznaniem wielkiego znaczenia stolicy biskupiej krakowskiej. oznajmia o zamianowaniu księciem-biskupem ks. Adama Sapiehy. Po odczytaniu bulli duchowieństwo dyecezyi krakowskiej z ks. biskupem Nowakiem na czele złożyło hołd posłuszeństwa nowemu arcypasterzowi. Po odprawieniu uroczystej sumy przez księcia-biskupa, przybranego w starodawne, historyczne szaty biskupów krakowskich — arcypasterz w infule i z pastorałem w ręku wygłosił z kazalnicy podniosłe kazanie, pełne głębokich myśli, miłości wiary św. i ojczyzny, które jako list pasterski we wszystkich kościołach dyecezyi krakowskiej jest odczytywane z ambony w niedzielę 10 marca. Zakończyło uroczystość błogosławieństwo apostolskie udzielone przez ks. biskupa z upoważnienia Ojca św. Po uroczystości na Wawelu wydał książę-biskup dwa obiady dla ubogich u SS. Miłosierdzia i w Domu pracy na 300 osób i obiad dla duchowieństwa u księży Misyonarzy. O godzinie 6 wieczorem odbyło się w pałacu biskupim przyjęcie dla dostojników, przybyłych na uroczystość. Podczas obiadu wygłosili toasty: książę-biskup, p. namiestnik Dr. Bobrzyński, ks. arcybiskup Bilczewski, minister Zaleski. Wszyscy dawali wyraz radości, że na stolicę krakowską powołany został mąż taki świątobliwy, wielkiego serca i gorący Polak, jakim jest ks. biskup Sapieha.

Wspomnienia z lat dziecinnych.

Oj były to wesołe lata, te lata dziecinne. Nie znałam wtedy, co to kłopot, co smutek, co życie. Jedyną moją troską były gąski, za któremi chodziłam po kwiecistym ugorze. Każda roślinka, każdy kwiateczek zdawał się do mnie uśmiechać. Słonko jakoś jaśniej i weselej wtenczas świeciło. Brzęk komarów, pszczółek zdawał się być cudną muzyką dla mego ucha. Tak uniesiona, tak przepełniona wdziękami przyrody postępowałam ostrożnie bosemi stopami za mojemi gąskami, żeby czasem nie nastanąć na pszczółkę, która chciwie wysysała miodek z kwiecia białej koniczyny.

— Dlaczego to pszczoły z czerwonej koniczyny nie zbierają miodu, pomyślałam sobie, chociaż w niej o wiele więcej miodu. Ach, spytam się o to naszego kochanego stryjaszka, który nam nieraz wiele ładnych rzeczy opowiada a on z pewnością i o tem będzie wiedział.

Wreszcie poczęły gęsi rozmawiać i śmiać się jedna do drugiej swym gęsim zwyczajem. Poczem usiadły wszystkie, kryjąc swe główki pod skrzydła. Ja, naśladując me gąski, pobiegłam kilka kroków dalej i usiadłam na miękkiej trawie pod zbożem, które połyskiwało się za lekkim podmuchem południowego wietrzyku.

Śpiew ptasząt, brzęk rozmaitych owadów, cała rozkoszna natura zdawała się przelewać w jakiś hymn uwielbienia ku swemu Stwórcy.

Ukołysana szumem zboża zasnęłam błogo. Śniło mi się, że zamieniłam się w ptaszka i bujając wysoko w obłokach wyśpiewywałam cudnie i widziałam tam, hen w górze, całe grono przecudnych Aniołków, które razem ze mną śpiewały chwałę Bogu. To znów, że byłam motylkiem i fruwałam lekko, powiewnie z kwiatka na kwiatek. Tymczasem moje gąski, poczuwszy pragnienie, wzleciały, rozpuszczając swe białe skrzydła, ku domowi na sadzawkę, żeby się orzeźwić chłodną wodą.

Przebudziwszy się spojrzałam na siebie, czy naprawdę może zamieniłam się w motylka, albo ptaszka. Spojrzawszy potem przed siebie, zlękłam się, nie ujrzawszy swych ulubionych gąsek na pastwisku. Nie namyślając się długo, pobiegłam prosto ku sadzawce, gdyż domyślałam się, że gęsi tam będą.

Pognawszy potem gąski z powrotem w pole, nie mogłam doczekać się wieczora, żeby jak najprędzej zapytać się stryjka, dlaczego to pszczółki nie zbierają miodu z czerwonej koniczyny.

Nadszedł wreszcie upragniony wieczór. Wskok pobiegłam do stryjaszka, przedstawiając mu swoje pytanie.

— Widzisz, moje dziecko — powiada stryjaszek z dobrocią — dlatego, że pszczółka pracuje także w niedzielę i święta, dał Pan Bóg za karę dla niej, że w kwiatku, w którym jest najwięcej miodu, to jest w koniczynie czerwonej, są tak głębokie kieliszki, że pszczółka na żaden sposób nie może z nich miodu wydostać.

— Dziękuję stryjaszkowi za tak piękną odpowiedź — rzekłam. — Ale mam jeszcze coś do powiedzenia. Usnęłam przy gąskach i śniło mi się.... tu poczęłam opowiadać swój sen.

Stryjek, wysłuchawszy mego opowiadania, pokiwał głową, nadając twarzy poważny układ, niby

na znak, że to, co będzie mówił, jest prawdą, a nie żartem.

— Tobie, moje dziecko, tylko tak się śniło, a ja naprawdę bujałem z ptakami w powietrzu, gdy byłem w twych latach i pasałem nietylko gąski, ale owce i gęsi razem.

Całując stryjka w rękę prosiłam, żeby mi opowiedział, jakim sposobem znalazł się w powietrzu.

— Jutro jest niedziela — odrzekł stryjek — więc będzie na to czas, to ci opowiem.

Nazajutrz popołudniu zgromadziliśmy się: moje rodzeństwo i ja wkoło stryjka w cieniu na murawie i spoglądaliśmy na niego niecierpliwie. Wreszcie począł mówić pół poważnie, pół wesoło:

— Kiedy byłem chłopcem, pasłem owce i gęsi. Oj, nauganiałem się nieraz za tymi szkodnikami! Pewnego razu, kiedy pasłem nieopodal drogi, spostrzegłem, że nasz karczmarz jedzie z miasta i wiezie coś w »sądku«, z pewnością okowitę. Widocznie był szpunt niedobrze zabity, bo okowita ciekła z niego dość mocno. Pobiegłem szybko i nadstawiłem mój filcowy kapelusz. Karczmarz zaś drzemał na wozie. Zakrzyknąłem tedy z całej siły: Hej, bo wam wszystka okowita wycieknie!

Zanim się karczmarz pozbierał i szpunt pobił mocno, to ja miałem już prawie pełen kapelusz okowity. Tymczasem moje owce i gęsi w zbożu. Żal mi było wylać okowitę. Myślałem sobie, że może się ona w domu przydać. Zlałem ją tedy w naczynie, które zabrałem ze sobą z wodą dla gęsi, gdyż w tym roku była ogromna susza, to w żadnym rowie, ani sadzawce nie było wody. Poczem począłem wyganiać moje owce i gęsi ze szkody.

Zanim się z tem uporałem i przyszedłem do mej okowity, uderzył mnie dziwny widok. W naczyniu nie było już okowity, a koło naczynia leżały trzy żórawie. Sądziłem, że otruły się okowitą, którą wypiły, nie znajdując nigdzie wody.

Tymczasem nadeszło południe. Chcąc zabrać żórawie ze sobą do domu a mieć wolne ręce, pookręcałem więc mój długi bat wkoło siebie i przymocowałem do niego za nogi moje żórawie, nie przeczuwając nic złego, poczem zawróciłem z memi trzodami ku domowi. I oto co się robi! Żórawie strzepnęły skrzydłami, unosząc mnie z sobą w powietrze.

Gdyby nie strach, byłyby to może najweselsze chwile w mojem życiu. Widząc, że coraz dalej i wyżej mnie unoszą, zdjął mnie jeszcze większy lęk. Myślałem tedy, co tu zrobić? A że się tonący chwyta brzytwy, to i ja chwyciłem się niebezpiecznego środka. Przypomniawszy sobie, że mam przy sobie nożyk, przeciąłem nim ów bat, na którym moje żórawie były przymocowane.

Co się ze mną działo, nie w staniem opowiedzieć. Kiedy ochłonąłem z przerażenia ujrzałem się w wielkiem bagnie, utkwiony po szyję. Usiłowałem się z całą mocą stąd wydostać, lecz napróżno.

— Ja w stryjkowem miejscu byłbym pobiegł po rydel i byłbym się odkopał — wtrącił najmłodszy z nas Józek.

Wybuchnęliśmy wszyscy głośnym śmiechem, przerywając opowiadanie. Gdy się uspokoiliśmy, począł stryjek mówić dalej.

— Myślałem, że będę tam musiał z głodu umierać. Ale że to przy nieszczęściu zawsze szczęście, tak i ze mną było. Ku mej wielkiej radości pobudowała się dzika kaczka na mej głowie, myśląc z pewnością, że to kępa i znosiła w gniazdko codzień po jajku. Wypijałem tedy te jajka, co mnie utrzymało przy życiu. Czasem krzepiłem się też rzeżuchą. Aż tu dowiedział się o tem gniazdku lis i począł wymykać z niego jajka. Byłem już bliski rozpaczy, ale i tu miało się sprawdzić powyższe przysłowie. Przyszła mi bowiem szczęśliwa myśl do głowy. Kiedy przyleciał znów lis, chcąc porwać jajo, ja uchwyciłem mu się z całej mocy za ogon i okręciłem go kilka razy wkoło ręki. Lis, przeląkłszy się, począł szarpać się i wyciągnął mnie z bagna. W kilka dni później znalazłem się w domu u skłopotanych rodziców, którzy mnie długo napróżno szukali. Opowiedziałem im moją przygodę, tak jak wam dzisiaj. Uściskali mnie serdecznie i kochali mnie odtąd jeszcze więcej.

Starsze rodzeństwo patrzyło na stryjka niedowierzająco, ale mój młodszy brat i ja wierzyliśmy temu, co nam stryjek opowiadał, mocno, jak zwykle dzieci.

Wiktorya Bilicka.

Anioł Wolności.

(W odpowiedzi St. Szybowiczównej na artykuł p. t. „Potęga i Wolność").

Przyszedł Anioł i rękę położył na oczach ludu i odjął mu ślepotę. Otworzyły się źrenice długo zamknięte i ujrzały przed sobą krainę Wolności, rozkwitającą pod pierwszymi podmuchami wiosny. I ujrzały ludzi wolnych, idących do pracy i ludzi wolnych, wypoczywających po trudach dnia w cieniu drzew rozłożystych. I ujrzały dzieci drobne, spieszące do szkoły z pieśnią na ustach a powracające do domu z bogatym posiewem cnoty obywatelskiej w duszach. I ujrzały, jak smutne oblicza ludzi starych rozjaśniają się na ten widok, jak łzy rozrzewnienia toczą się po policzkach pooranych w bruzdy, jak ramiona wyciągają się z błogosławieństwem ku ziemi, która jest ojczyzną wszystkich. Anioł Wolności szedł od wsi do wsi, od miasta do miasta i rozpowiadał dobrą nowinę, którą przyniósł z rozkazu Boskiego na ziemię łez i krzyżów. I mówił Anioł do jednych:

— Otwórzcie szerzej okna swoje i drzwi swoje. Otwórzcie serca wasze, aby duch wolności mógł do nich wnijść i ognisko tam swoje rozpalić. Podajcie ręce braciom waszym, zespólcie się w jednej pracy z nimi i zdobywajcie przyszłość, która jest jedna dla całego narodu. Niechaj ustaną niezgody i waśnie, niesnaski i kłótnie między wami.

A do drugich mówił:

— Nie zazdrośćcie bogatym, albowiem dobro ich dobrem narodu, jak niedola wasza jest niedolą narodu. Nie zazdrośćcie tym, którym więcej dano, bo wolność większe na nich ciężary położy, aby je dźwigali, jeżeli chcą być obywatele prawi i dobrzy. Nie narzekajcie na pracę waszą, chociaż jest ciężka, albowiem nie jest praca ona dla was, ale dla narodu. Ojczyzna jest pierwszym i ostatnim zakonem Waszym, Ojczyzna jest imię godziny, która wybiła na zegarze dziejowym, Ojczyzna jest dniem, który zaświtał. I nie macie Wolności dla siebie samych, ale macie ją dla Ojczyzny.

Tak opowiadając, szedł Anioł po ziemi smutnej wszerz i wzdłuż a przyklękając na grudzie szarych, smutnych pól, błogosławił runi ozimej, wyścibiającej źdźbła swoje ku słońcu. I cieszyła mu się ziemia cała i cieszył lud, wychodzący na drogi szerokie.

Franciszek Siekaniec.

ZAMIANA.

Młody dziedzic Z., otrzymawszy po ś. p. ojcu swoim rozległe dobra, zaczął gospodarkę w ten sposób, że poznosił wszystkie karczmy, które do jego dóbr należały. Dwie z nich darował gminom na szkoły, jednę Kółku rolniczemu. Z wielkim krzykiem musieli się żydzi wynosić. Nie pomogły żadne prośby i lamentacye.

Icek Klappes śmiał się ze wszystkiego, bo karczma czwarta była jego własnością, kupił ją od śp. starego dziedzica za różne wysługi i faktorne. Teraz zacierał ręce z radości, bo jego karczma była dzień i noc napełniona, stała bowiem przy głównej drodze w środku wsi a więc wszyscy ludzie tu mieli ściąg. Po zniesieniu karczem Icek dobudował jeszcze jednę izbę wielką, w której posprawiał kosztowne stoły i ławki oraz elegancki szynkwas a nad drzwiami dał tablicę, roboty jakiegoś semickiego artysty, z napisem: »*Icek Klappes Wisynk piwo z wodkiem rumem herbatem i różne psiekąski na czepło, na zimno w Zabojce*«. Z tej tablicy tak się Icek cieszył, że w każdy siabes pół kopy razy nawrócił spacerem po trawniku przed karczmą a przed samą tablicą przystawał, głaskał brodę i kręcił korkociągi.



Dziedzicowi była Zabojka solą w oku, widział jak się żyd panoszy, wiedział dobrze o tem, że góral bez gorzałki i dnia się nie obejdzie, chyba że jej nie ma gdzie dostać. Postanowił zatem kupić karczmę za wszelką cenę. W tym celu zgłaszali się ludzie do Icka z propozycyą kupna Zabojki, ale Icek ani słyszeć o tem nie chciał.

Pewnego dnia, gdy ludzi była pełna karczma, zajechał powóz i dziedzic zjawił się w karczmie. Icek zdjął kapelusz, kłaniał się i zginał we dwoje, ale już zgóry spozierał na niego.

— Dzień dobry panu! Czy nie mógłbyś pan chwilkę czasu oderwać się od zajęć, mam coś z panem do pomówienia — rzecze dziedzic.

— Natichmiast, natichmiast, służę jaśnie panu — odparł żyd, otworzył drzwi do alkierza, wprowadził dziedzica i sam w skulonej postawie czekał.

— Mam taki interes do pana — rzecze dziedzic — spodobał mi się ten trawnik przed karczmą, odstąp mi pan sążeń kwadratowy.

— Ny, a to na co panu?

— No, postawiłbym sobie ławeczkę. Czasem latem idę na spacer, tobym sobie wypił szklankę piwa i odpoczął. Wspaniały stąd widok.

— Oj joj, locego nie? Nawet to jaśnie panu sam każę postawić altanę a może z kręgielniemby pan chcioł? — zawołał żyd.

— Nie, nie! chcę kupić jeden tylko sążeń lub zamienić, dam morgę łąki pod młynem.

Ickowi zaiskrzyły się oczy.

— No, to zgoda, niech pan cały ten trawnik używa. Jasny pan nikomu z krzywdem nie zrobi!

— A więc do widzenia! Jutro zrobimy kontrakt u rejenta.

— Na co, po co kontrakt? — krzyknął Icek. — Pan trawnik użiwo i kwit.

— Prawda, ale to nie byłoby nic pewnego, sambyś potem żałował, kochany panie Icku. Mnieby się rozwidziało może, no i nie dałbym łąki. Najlepiej zrobić kontrakt zamiany. Zasadzimy kamienie graniczne i będzie dobrze.

— Git, git, sioj git! Ma pan z racyjem! Jutro kontrakt, git — krzyczał Icek uradowany dobrym geszeftem, ale dziedzica już nie było.

Icek wskoczył do szynkownej izby i z wielkiej radości kowalowi wydał ze szóstki, co wypił kieliszek wódki, dziewięć szóstek, a Kubie Gromowskiemu, co wołał o kwaterkę wódki, postawił kwartę okowity.

Na drugi dzień zrobiono kontrakt. Dziedzic odmierzył żydowi morg łąki i sobie jeden sążeń trawnika przed karczmą. Icek był ucieszony.

Nie długo jednakże trwała ta uciecha. Na trzeci dzień, a było to w szabes, gdy Icek wrócił z bóżnicy, ujrzał przed Zabojką wspaniały wysoki krzyż dębowy a na nim napis: »*Pijaku! Chrystus umarł dla ciebie, abyś był w niebie!*«

Icek skakał po izbie, jak oparzony, targał brodę i paragrafy koło uszu a krzyczał:

— Aj waj, oches mir! — a wszyscy żydzi robili taki krzyk, że niczem dziesięć jarmarków.

Na drugi dzień, w niedzielę, jeszcze dziedzic nie wstał z łóżka, gdy Icek wpadł do pokoju jak bomba, z krzykiem:

— Co pan wirabia za kimedyje? po co tin drewno przed moje okno? Tam mieli bicz z ławkiem!

— Co, co? — rzecze dziedzic, zrywając się z łóżka — wszak to mój sążeń! Ty sobie na łące postaw i bóżnicę, wolno ci, bo twoja!

— Ale jo nie chcę łąka! Ja zapłacę wszystkie koszta!

— Antoni! — zawołał dziedzic, a w tej chwili zjawił się lokaj. — Wyrzuć tego żyda za drzwi!

— Ja sam... ja sam... — bełkotał żyd, pchany z szaloną szybkością przez Antka.

* * *

Krzyż raził żyda i ludzi. Żyd ze zgryzoty się rozchorował, ludziom czegoś brakowało. Niejeden, przeczytawszy napis, zmówił pacierz i nie wstąpił do karczmy. Karczma stała pustką. Icek, gdy wyzdrowiał, sprowadzał różnych żydów i adwokatów, radzili i radzili, ale nic nie uradzili. W miesiąc później Icek sprzedał karczmę dziedzicowi, nawet tanio, bo dziedzic nibyto nie miał ochoty kupić a ten sążeń wszystkim kupcom był na zawadzie. Dziś w tem miejscu, gdzie była Zabojka, stoi kapliczka.

Piotr Lipowiak.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XVI.

Kwestya mieszkania. — Wycieczka na północ jeziora. — Kraniec jeziora. — Niepokój Topa. — Walka pod wodą. — Dugong.

Szóstego maja, to jest w dniu, odpowiadającym szóstemu listopada w okolicach, leżących na półkuli północnej, widok zasępiającego się coraz nieba przypomniał kolonistom, że zima się zbliża i czas pomyśleć o cieplejszem mieszkaniu. Zresztą choćby zima nie groziła jeszcze, to zbliżała się pora deszczów — a na wyspie, rzuconej samotnie na morskiej przestrzeni, wystawionej ze wszech stron na wichry morskie, musiały bywać w tej porze częste i gwałtowne burze. Morze już raz wtargnęło do Kominów, więc trudno było narażać się powtórnie na podobny wypadek.

— Zresztą — rzekł Cyrus Smith, rozmawiając o tem z towarzyszami — musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— Dlaczego? Wszakże wyspa niezamieszkana?— rzekł reporter.

— Tak się zdaje — odrzekł inżynier — chociaż nie znamy jeszcze całej. Ale choćbyśmy byli rzeczywiście jedynymi jej mieszkańcami, to w lasach mogą ukrywać się dzikie zwierzęta. Zresztą, moi przyjaciele, wszystko przewidzieć trzeba: ta część oceanu Spokojnego często bywa zwiedzana przez malajskich rozbójników morskich.

— Ha! — rzekł Penkroff — w takim razie to się oszańcujemy przeciwko dwunożnym i czworonożnym wrogom. Ale czyby to nie dobrze było, jeżelibyśmy zwiedzili wyspę w całej rozciągłości?

— Podzielam zdanie Penkroffa — powiedział reporter. — Kto wie, czy nie znajdziemy gdzie jaskini, której tu szukaliśmy daremnie?

— Prawda — odpowiedział inżynier — lecz zapominacie, że musimy koniecznie osiedlić się w pobliżu jakiej rzeczki lub strumienia, a z wierzchołka góry Franklina nie dostrzegliśmy nic podobnego.

— W takim razie, panie Cyrusie, zbudujemy sobie dom nad brzegiem jeziora — rzekł marynarz.— Teraz nie brak nam już cegieł, ani narzędzi. Byliśmy już ceglarzami, garncarzami, hutnikami, kowalami, to czemużbyśmy też nie mogli zostać murarzami?

— Masz słuszność, przyjacielu, ale zanim przystąpimy do tej pracy, musimy szukać mieszkania, zbudowanego przez samą przyrodę. Gdybyśmy mogli wykuć sobie mieszkanie w tej ścianie granitowej, ale trochę wyżej, nie przy samej ziemi, aby przystęp do niego był utrudniony, jakżeby to było dobrze! Urządzilibyśmy sobie pięć lub sześć pokoi od strony morza.

Poruszyć ten mur granitowy, nawet za pomocą miny, byłoby to dokonać pracy nielada! Inżynier oświadczył towarzyszom, że wartoby uważnie przyjrzeć się tej ścianie, począwszy od ujścia rzeki aż do końca od północnej strony. Udali się tam natychmiast i czynili jak najstaranniejsze poszukiwania, lecz nigdzie w gładkiej i prostej ścianie granitowej nie znaleźli zagłębienia. Zatrzymali się wreszcie przy północnym końcu ściany. Dalej na pochyłości, ciągnącej się aż do żwirowiska, leżało mnóstwo wielkich kamieni wśród dość bujnej trawy; spotykało się jeszcze drzewa, lecz coraz mniejsze, a wkońcu aż do wybrzeża ciągnęła się piaszczysta równina. Inżynier sądził, że z tej właśnie strony musi znajdować się ów naturalny upust, którym wody jeziora odpływają do morza.

W kilka minut później stanęli już na płaszczyźnie. O dwieście kroków przed nimi przeźroczysta szyba jeziora połyskiwała od słonecznych promieni. Drzewa, przybrane w jesienne barwy, grupowały się pięknie. Tysiące różnobarwnych papug unosiło się w powietrzu lub skakało z gałęzi na gałęź. Słowem śliczny widok roztaczał się przed ich oczyma. Koloniści postępowali ostrożnie po tej nieznanej sobie okolicy. Oprócz łuków i okutych kijów nie posiadali innej broni; musieli więc strzedz się spotkania z dzikiemi zwierzętami, choć prawdopodobnie prędzejby je znaleźć można w gęstych lasach na południu wyspy. Stanęli wkrótce przy ujściu Czerwonego Strumienia i szli wzdłuż brzegów jeziora, obfitującego, jak się zdawało w ryby. Penkroff postanowił zrobić wędkę i w chwilach wolnych od ważniejszych zatrudnień zajmować się rybołówstwem. Brzeg jeziora, ciągnący się równolegle do wybrzeży wyspy, był nie tak gęsto zarosły drzewami. Jezioro Granta ukazywało się w całej swej rozciągłości; najlżejszy wietrzyk nie poruszał gładkiej powierzchni. Top, kręcąc się tu i owdzie między krzakami, płoszył stada rozmaitych ptaków, a Gedeon i Harbert strzelali do nich z łuków. Top, dotąd spokojny, zaczął okazywać niepokój; to biegł naprzód po urwistym brzegu, to zawracał się, to stawał i patrzył na wodę, jakby się chciał rzucić na jakąś niewidzialna zwierzynę: szczekał gniewnie i uciszał się nagle. Z początku ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie zwracali na to uwagi, wkońcu jednak to ciągle powtarzające się szczekanie obudziło ich ciekawość.

— Co tam widzisz, Topie? — zapytał inżynier.

Pies poskoczył do pana z oznakami wyraźnego niepokoju, znów szybko wrócił na brzeg, a po chwili rzucił się w wodę.

— Top, do nogi! — zawołał Cyrus, obawiając się, aby wierne zwierzę nie spotkało tam groźnego nieprzyjaciela.

Top, posłuszny wezwaniu, powrócił na brzeg, lecz nie uspokoił się bynajmniej; biegł ciągle, patrząc na wodę, jakby ścigał jakąś niewidzialną istotę płynąca samym brzegiem jeziora. Jednak powierzchnia jeziora była zupełnie gładka, i chociaż koloniści przyglądali się pilnie, niczego zobaczyć nie mogli. Była w tem jakaś tajemnica, której nawet Cyrus Smith nie umiał odgadnąć. O piątej popołudniu koloniści zamierzali już wrócić do domu, gdy Top zaczął znów dawać oznaki niepokoju; szczekał, ujadał i zanim Cyrus potrafił go zatrzymać, znów po raz drugi rzucił się w jezioro.

Wszyscy pobiegli na brzeg, a gdy Cyrus przywołał Topa, który odpłynął już kilkadziesiąt stóp od brzegu, na powierzchni wody nie bardzo głębokiej, jak się zdawało, w tem miejscu, ukazała się ogromna jakaś głowa. Harbert poznał odrazu, do jakiego gatunku ziemnowodnych należała ta spiczasta głowa z wielkiemi oczyma i długimi wąsami.

— To krowa morska — zawołał, zwracając się do towarzyszów.

Nie była to jednak krowa morska, lecz inne tegoż gatunku zwierzę, zwane »dugong«. Ogromne zwierzę rzuciło się na psa, spiesznie do brzegu podążającego. Pan jego nie mógł przyjść mu z pomocą a zanim Gedeon i Harbert naciągnęli łuki, Top, pochwycony przez dugonga, zniknął pod wodą. Nab, uzbrojony okutym drągiem, chciał rzucić się i stoczyć walkę z groźnem zwierzęciem.

— Nie, Nabie, nie pozwolę na to — rzekł inżynier, powstrzymując odważnego murzyna.

Tymczasem trudno było przypuścić, aby Top mógł się oprzeć tak potężnemu nieprzyjacielowi. Jednak, sądząc z gwałtownego poruszania się wody, musiała tam straszna odbywać się walka, która bez wątpienia zakończyć się miała śmiercią Topa. Nagle woda się zapieniła i ukazał się Top, wyrzucony w powietrze jakąś nieznaną siłą. Wzniósł się na jakie dziesięć stóp nad powierzchnię jeziora, potem spadł na wodę i w kilka minut dopłynął do brzegu, lekko tylko raniony.

Koloniści z zadziwieniem spojrzeli po sobie, a zdumienie ich powiększyła jeszcze ta okoliczność, że widocznie walka nie ustawała pod wodą. Zapewne dugong, napadnięty przez jakiegoś potężnego wroga, puścił psa, aby walczyć we własnej obronie.

Niedługo to jednak trwało. Krew zarumieniła wodę i nieżywy dugong wynurzył się z krwawej kąpieli. Nie zadługo potem woda wyrzuciła go na piasek w południowym końcu jeziora. Koloniści pobiegli tam i przekonali się, że dugong był rzeczywiście zabity. Było to ogromne zwierzę, długie na piętnaście do szesnastu stóp. W szyi miał głęboką ranę, jak gdyby ktoś silnie pchnął go nożem.

Jakież to zwierzę mogło w ten sposób odebrać życie dugongowi? Trudno było domyśleć się tego, to też koloniści, zajęci rozwiązaniem tej zagadki, milcząc, wrócili do Kominów.

ROZDZIAŁ XVII.

Wycieczka do jeziora. — Dziwny prąd. — Nitrogliceryna. — Nowy spadek.

Nazajutrz, 7 maja, gdy Nab przyrządzał śniadanie, a Penkroff i Harbert udali się w górę rzeki po drzewo, Cyrus Smith i Gedeon Spillet poszli przez płaszczyznę i wkrótce stanęli na miejscu, na którem leżał dugong. Stada ptaków obsiadły już nieżywe zwierzę. Musiano odganiać je kamieniami, gdyż inżynier pragnął zachować tłuszcz dugonga na potrzeby kolonii. Myślał ciągle o wczorajszym wypadku, radby zgłębić tajemnicę walki podwodnej i dowiedzieć się, jaki to potwór morski ocalił życie wiernemu Topowi.



...weszli do małej pieczary...

W miejscu, gdzie dugong leżał, woda była dosyć płytka, lecz dalej dno jeziora obniżało się powoli i prawdopodobnie ku środkowi woda musiała być głęboka.

— Jest — mówił zamyślony inżynier — jest w tem coś, czego zrozumieć nie mogę. Ale czy potrafię odgadnąć, jakim sposobem ja sam zostałem uratowany z głębi morza na piaszczyste wzgórza? Dlatego też przeczuwam jakąś tajemnicę, którą odkryjemy zapewne kiedyś.

Wiemy, że inżynier nie mógł dotąd odnaleźć, którędy odpływa z jeziora nadmiar wody. Otóż teraz spostrzegł w tem miejscu właśnie dosyć wyraźny prąd wody; rzucił kilka drobnych kawałków drzewa i spostrzegł, że płyną dalej ku południowi. Poszedł w tę stronę i zatrzymał się w końcu południowej strony jeziora. Tam widać było ruch wody, jakby wpadała nagle w jakąś szczelinę. Cyrus Smith przyłożył ucho do ziemi i usłyszał wyraźny szum podziemnego spadku wody.

— Tędy — rzekł wstając — tędy uchodzi woda. Musi mieć kanał, wyżłobiony w tej prostopadłej skale, przez który wpada do morza. Kto wie, czy niema tam także jaskini, którą moglibyśmy zużytkować dla siebie. O tem właśnie przekonać się muszę.

Inżynier uciął długą gałąź i oberwawszy z niej liście, zanurzył ją w jeziorze. Przekonał się, że na stopę pod powierzchnią wody znajdował się szerok otwór, a pęd wody był tak silny, że wyrwał z ręki gałąź:

— Teraz już nawet wątpić nie można — powiedział inżynier — że woda odpływa tym otworem, a ja ten otwór odsłonić muszę, obniżając o trzy stopy poziom jeziora.

— Poziom jeziora? A to jakim cudem?

— Otwierając wodzie obszerniejsze ujście w części brzegów najwięcej zbliżonych do morza.

— Ale tam są brzegi skaliste? — rzekł reporter.

— To skały te wysadzę w powietrze, a woda, uchodząc, odkryje ten otwór.

— I spadając, tworzyć będzie wodospad — dodał Gedeon.

— Tak, wodospad, który zużytkować potrafimy! — odpowiedział Cyrus.

Gdy wrócili do Kominów, Harbert i Penkroff kończyli właśnie układanie drzewa.

Tu inżynier zawiadomił towarzyszów o skutku swych spostrzeżeń. Według niego w granitowej podstawie płaszczyzny musiało znajdować się większe lub mniejsze zagłębienie, to jest rodzaj jaskini, do której on wejść postanowił. Aby to było możliwe, wypadało odsłonić otwór, którym woda odpływała, zatem obniżyć znacznie poziom jeziora, otwierając wodzie drogę do odpływu. W tym celu trzeba było przyrządzić rzecz wybuchającą, któraby mogła wyszczerbić skalisty brzeg jeziora. To właśnie zamierzył uczynić, korzystając z minerałów, jakiemi przyroda uposażyła wyspę.

Nie potrzebujemy zapewniać, że ten zamiar podobał się wszystkim a Penkroffa wprawił w zachwyt.

W kilka minut potem Cyrus i pozostali towarzysze szli w górę rzeki, ciągnąc za sobą nosze, uplecione z gałęzi. Dążyli ku pokładom węgla kamiennego, gdzie Cyrus już dawniej widział wielką ilość pirytu łupkowego. Po zebraniu przenieśli znaczną ilość do Kominów.

Przez dwanaście dni coś manipulował z zebranym pirytem, wypalał, przemywał, aż nareszcie przyniósł towarzyszom kilka kwart olejowatego żółtego płynu w dużej flaszy, dobrze zatkanej, i rzekł do towarzyszów:

— Jest to nitrogliceryna!

I był to rzeczywiście ten straszny wytwór, którego siła dziesięć razy prawie przewyższa siłę zwyczajnego prochu i który tyle już okropnych spowodował wypadków.

Nazajutrz, dnia 21 maja, już o świcie udali się na wschodni brzeg jeziora, o jakie pięćset kroków od wybrzeża marskiego. Penkroff, zaopatrzony w żelazny drąg, zaczął silnie uderzać w powierzchnię skały, pod kierunkiem inżyniera. Była to praca ciężka i szła powoli, gdyż inżynier, pragnąc straszny wywołać skutek, zamierzał użyć na ten cel przeszło dziesięć litrów nitrogliceryny. Jednak Penkroff, naprzemian z Nabem, pracowali tak niezmordowanie, że około czwartej wieczorem otwór był wydrążony. Uderzenie młotem w kilka kropel nitrogliceryny, rozlanej na powierzchni twardego kamienia, powoduje wybuch; lecz ktoby tego dokonał, sam stałby się ofiarą wybuchu. Aby temu zaradzić Cyrus przymocował wysoko ponad wydrążonym otworem, na grubej linie, ukręconej z włókien roślinnych, kawał żelaza, ważący kilkadziesiąt funtów. Do tej liny przywiązał w samym środku drugą, nasiarkowaną. Jej koniec spadał na ziemię, i był tak długi, iż ciągnął się po powierzchni na kilkanaście stóp od otworu miny. Po zapaleniu lina palić się będzie aż do połączenia się z pierwszą, z kolei zapali ją, a wtedy ciężar żelaza spadnie na nitroglicerynę.

Gdy wszystko przygotowano, inżynier kazał towarzyszom oddalić się. Otwór miny napełnił nitrogliceryną i puścił kilka jej kropel na skałę, tuż pod zawieszonym ciężarem żelaza. Następnie uchwycił koniec nasiarkowanej liny, zapalił i biegnąc prędko, dostał się do oczekujących nań towarzyszów, którzy weszli poprzednio do małej pieczary, przyświecając sobie łuczywem.

Lina miała się palić dwadzieścia pięć minut. Jakoż natychmiast po ich upływie rozległ się przerażający huk wybuchu, który trzeba słyszeć, gdyż wyobrazić go sobie niepodobna. Zdawało się, że cała wyspa zadrżała i wstrząsnęła się w posadach swoich; grad kamieni rosypał się w powietrzu, jakby wyrzucony z wulkanu. Wstrząśnienie było tak silne, że skały kominów się zachwiały, a koloniści zostali rzuceni o ziemię, choć znajdowali się bardzo daleko od miejsca wybuchu. Podniósłszy się, weszli na płaszczyznę i pobiegli na wybrzeże jeziora.

Głośne, potrójne wiwat! wydarło się z ich piersi. Ściana granitowa szeroko była rozwarta, bystry prąd wody, pieniąc się, toczył po płaszczyznie i z wysokości trzystu stóp staczał się na wybrzeże. C. d. n.

Zwróć się do Boga.

Kiedy cię smutek wielki przytłoczy,
Kiedy w zwątpieniu serce twe łka,
Zwróć w niebo swoje zbolałe oczy
A Bóg pociechę pewno ci da.

Kiedy twem sercem boleść zawładnie
I szczęście zniknie z twych życia dróg,
Wspojrzyj ku niebu — łza z oczu spadnie
I uśmiech licom twym ześle Bóg.

Chociażbyś sądził, że szczęście wiecznie
Prysło od ciebie, jak ranna mgła,
Zwróć się do Boga a On bezsprzecznie
Jeszcze ci w życiu twem szczęście da!

Antoni St. Bassara.



Maciek Bzdura gada:

Jagmy wkiejsik wozili gnój na owsisko, gdzie gospodarz chcą sadzić zimiaki, uźrołem Grzelę Jagodę chodzącego wele stawu i patrzącego na wirzby przy nim rosnące.

— A co to — padam — jaskółcych jaj sukacie na wirzbie?

— E, gdzietam — odrzeknie Grzela. — Patrzę na gałązki, bo trza będzie tego trochę uciąć i zasadzić wele chałpy, bo taka pustka dokółka, ze jaze człowieka mierzi.

Przyszło mi na myśl wszyćko, co gadał prefesur w Psiwólce i tak rzeknę do Grzeli:

— Ze chcecie wele chaty drzewinę zasadzić, to się wam chwali, ale pomyślcie ino, ze na wirzbie ani gruski, ani jabłka rosły nie będą, ino same gałęzie a liście. Nie lepi to zamiast wirzby abo insy drzewiny, jakie rodzajne drzewo posadzić, z ftóregoby i wy i dziecka miały prefit.

— Juści — pada Grzela — byłoby lepi, ale byłoby i gorzy...

— Gorzy? — ja na to — ciekawym lacego?

— Latego — prawi Grzela — bo jak urośnie wierzba, to se będzie przy chałpie stojała spokojnie, a jak urośnie gruska abo jabłonka, to ino chłopacyska będą biły na nią kamieniami i ani okno, ani kura przy chałpie nie będą spokojne. Z drzewa nie będzie zadnego prefitu, bo nawet gałęzie te niećciwiary połamią.

— Ehe! — ja na to — a od cegos jest urząd gminny, a od cego ojcowie? Jak ociec abo matka takiego smyka nie spierze, to wójt powinien takiego zbereźnika porządnie ukarać a odniechce mu się na drugi raz cudzych jabłek.

— Baje plecies, Maciuś — prawili Grzela — u nas w Zatracony Wsi to jesce ojcowie kazują dzieckom iść na cudze a wójt padają, ze to do ich urzędowania nie nalezy. Gdzieindzi mozeby ta tak zrobili, ale nie w Zatracony Wsi. A zreśtą, jakby to urosło, to mozeby człek i sam się ognał, ale skąd tu wziąć rodzajnych drzewek?

— Acha! mam was — począłem się śmiać — juz wiem o co wam chodzi! Zeby wam tak fto dał drzewko za durno, a moze jesce posadził, to dobrze, ale kupić?... gdzieby tam! Jakby tak przysły chrzciny abo wesele, to grajcary znaleźćby się musiały, ale kiedy trzeba na coś prawdziwie pozytecnego, to ich nigdy nima i nima. U nas to juz tak, ze jak na rzec potrzebna, to człek najpirw suka wymówki, a potem ty rzecy nie kupi a jak na byle co, to choćby miał pozycyć, to piniądze znaleźć musi.

Popatrzyli Grzela na mnie ze złością a potem się ośmiali i rzekli:

— Na złość ci nie będę wierzb sadził, ale zaraz zapisę jabłonki abo gruski i całą chałpę wkolusieńko obsadzę.

Z TYGODNIA.

Nowy prezes Koła polskiego. Dnia 4 marca wybrało Koło polskie, w miejsce Dra Bilińskiego powołanego na ministra wspólnego skarbu, prezesem posła Dra Juliusza Leo, prezydenta miasta Krakowa. Nowy prezes Koła polskiego, wybitny znawca spraw gospodarczych, człowiek energiczny i czynny jako prezydent Krakowa, nie dał się jeszcze poznać na gruncie wiedeńskim, gdyż posłuje dopiero od roku zeszłego. Spodziewać się jednak należy, że pomny trudnych obowiązków prezesa Koła, będzie tym samym torem, co jego znakomity poprzednik, prowadził naszą politykę w parlamencie wiedeńskim.

Sprawa Chełmszczyzny. W zeszłym tygodniu Duma rosyjska w drugiem głosowaniu odrzuciła z projektu rządowego artykuł, żądający wyodrębnienia przyszłej guberni chełmskiej z Królestwa Polskiego. Zapanowała zrazu z tego powodu radość tak w Królestwie jak i u nas, w Galicyi. Niektóre pisma pospieszyły się z objawieniem tej radości w artykułach, które głosiły, że Chełmszczyzna została już uratowana. Tymczasem radość była przedwczesna. Projekt rządowy przejść musi jeszcze trzecie czytanie w Dumie i obrady w Radzie państwa. Wątpliwem jest zatem, aby uchwała ta została w mocy i stała się ustawą, tem bardziej, że odrzucenie wyodrębnienia w drugiem czytaniu przez Dumę dokonane zostało przypadkową, bardzo nieznaczną większością. A choćby nawet nowej guberni nie wyłączono z Królestwa, to należałaby ona wyjątkowo pod władzę bezpośrednią ministra spraw wewnętrznych i gwałty przeciw katolicyzmowi i polskości byłyby na porządku dziennym. Zresztą i dziś, choć jeszcze tej nowej gubernii niema i ziemia chełmska należy do Królestwa Polskiego, administracya rządowa rosyjska dochodzi do najdalszych granic w patrzeniu przez palce na nadużycia popów prawosławnych z krzywdą dla tamtejszego katolickiego ludu. Jest już więc bardzo źle, ale zacietrzewiony biskup prawosławny Eulogiusz, który całą siłą prze do przeprowadzenia tej ustawy, pragnie, by ucisk katolicyzmu jeszcze większe w nieszczęśliwej Chełmszczyznie przybrał rozmiary.

Olbrzymi strajk węglowy w Anglii. Dnia 1 marca wybuchł w kopalniach węgla w Anglii olbrzymi strajk. W dwa dni po rozpoczęciu strajku zawiesiło pracę już milion robotników. Powodem tej olbrzymiej zmowy jest sprawa ustanowienia dla górników pewnej płacy, której już zniżyć nie można. Właściciele kopalń z różnych względów przystać na to nie chcą. Wdał się w sprawę rząd, który stoi na stanowisku, że są wypadki, w których górnicy z powodów, nie leżących w ich mocy, nie mogą zarobić sobie odpowiedniej płacy, należy więc stworzyć warunki, zastosowane do stosunków każdego okręgu węglowego, przyczem trzeba też zabezpieczyć pracodawców przed możliwemi nadużyciami. Trudności wynikające ze strajku dają się bardzo odczuwać w przemyśle i handlu. Nawet wielkie linie kolejowe ogłaszają, że rozkłady jazdy prawdopodobnie ulegną zmianie. Prawie wszystkie koleje przygotowują ograniczenie ruchu. Dłużej trwający strajk węglowy byłby olbrzymią klęską dla całej Anglii. Jest więc nadzieja, że przy pośrednictwie rządu rychło zostanie zażegnany.

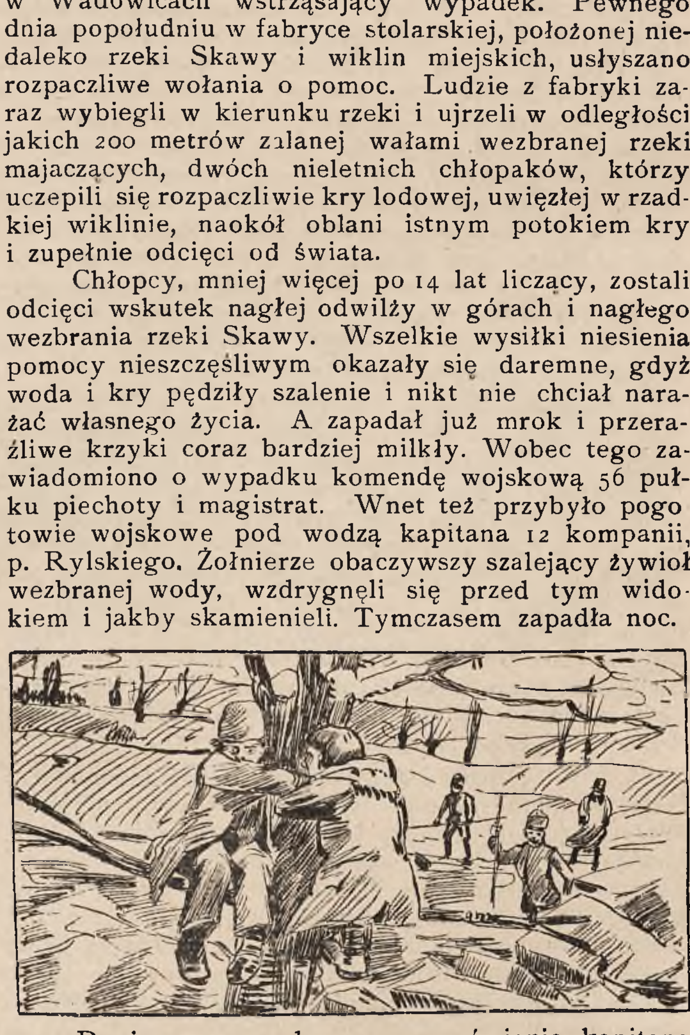
Z Chin. W zeszłym tygodniu w Pekinie wybuchł groźny bunt żołnierzy. Powodem rozruchu było, że nie otrzymywali żołdu. Liczba buntowników doszła do kilku tysięcy. Oficerowie z wielkim wysiłkiem starali się buntowników uspokoić, lecz nadaremnie. Żołnierze splądrowali setki sklepów i podpalili część miasta.

KRONIKA.

Wypadek w kopalni. Dnia 2 marca rano zaszedł w bocheńskiej kopalni nieszczęśliwy wypadek przy rozsadzaniu dynamitem pokładu soli w szybie »Sutoris«. Po godz. 9 rano dwaj górnicy, Wojciech Słonczyński i Stanisław Biernat, założyli w tym szybie nabój dynamitowy i w pewnem oddaleniu czekali na wybuch, który też niebawem nastąpił. — Równocześnie jednak kilka ogromnych brył sóli przywaliło obu górników. Rozpaczliwe wołania nieszczęśliwych posłyszeli pracujący w pobliżu towarzysze, którzy pospieszyli natychmiast z pomocą i wydobyli ich z pod brył soli. Obaj nieszczęśliwi górnicy, których przewieziono do miejscowego szpitala, odnieśli śmiertelne rany.

Walka o życie. Niedawno temu zdarzył się w Wadowicach wstrząsający wypadek. Pewnego dnia popołudniu w fabryce stolarskiej, położonej niedaleko rzeki Skawy i wiklin miejskich, usłyszano rozpaczliwe wołania o pomoc. Ludzie z fabryki zaraz wybiegli w kierunku rzeki i ujrzeli w odległości jakich 200 metrów zalanej wałami wezbranej rzeki majaczących, dwóch nieletnich chłopaków, którzy uczepili się rozpaczliwie kry lodowej, uwięzłej w rzadkiej wiklinie, naokół oblani istnym potokiem kry i zupełnie odcięci od świata.

Chłopcy, mniej więcej po 14 lat liczący, zostali odcięci wskutek nagłej odwilży w górach i nagłego wezbrania rzeki Skawy. Wszelkie wysiłki niesienia pomocy nieszczęśliwym okazały się daremne, gdyż woda i kry pędziły szalenie i nikt nie chciał narażać własnego życia. A zapadał już mrok i przeraźliwe krzyki coraz bardziej milkły. Wobec tego zawiadomiono o wypadku komendę wojskową 56 pułku piechoty i magistrat. Wnet też przybyło pogotowie wojskowe pod wodzą kapitana 12 kompanii, p. Rylskiego. Żołnierze obaczywszy szalejący żywioł wezbranej wody, wzdrygnęli się przed tym widokiem i jakby skamienieli. Tymczasem zapadła noc.



Dopiero na serdeczne przemówienie kapitana pierwsi rzucili się w fale sierżant Swoboda i szeregowiec Gorączka. W ślad za nimi pospieszyli dwaj inni szeregowcy na łodzi, usiłując dotrzeć do chłopaków. Wkrótce stracono ich z oczu, widziano tylko latarki ratujących. Niestety, mimo nadludzkich wysiłków, żołnierze nie zdołali dotrzeć do nieszczęśliwych. Wówczas kapitan Rylski, choć mąż i ojciec, z obawy o życie swych podwładnych — rzucił się w rozszalałe fale, niosąc ratunek tak chłopcom, jakoteż swym podwładnym. I dzięki iście nadludzkim czynom dzielnych żołnierzy, zwłaszcza kapitana Rylskiego i p. Swobody, zdołano dotrzeć do zagrożonych chłopców. Tutaj przedstawił się ratującym straszny widok. Na kruchej jodełce, która za każdym prądem wody kołysała się na wszystkie strony, siedzieli, kurczowo trzymając się rękami, obaj chłopcy, nazwiskiem Hornik i Piątek. Po zdjęciu ich z drze-

wka zabrali ratujący tj. kapitan Rylski jednego, zaś p. Swoboda drugiego, na swe barki. Droga powrotna była jednak o wiele uciążliwsza, gdyż ratujący byli już znacznie z sił wyczerpani, wskutek przemoczenia i zmarznięcia do szpiku kości, nie mogli więc stawiać tak skutecznego oporu wezbranej wodzie i krom. Były chwile, w których zdawało się, że zginą wszyscy, lecz wkońcu zdołano ich za pomocą liny ratunkowej dociągnąć do brzegu. Tak więc chłopcy zostali uratowani. Wypadek ten wyobraża nasza rycina.

Z Rychwałdu piszą nam: Ludność wsi Rychwałdu, obok Żywca, leżącej w uroczej dolinie, ciągnącej się u stóp Beskidu, dba o kościół, o oświatę i ma zalety, o których sama nie wie. Do niedawna jeszcze nie wiedziała o tem, że jest cząstką Ojczyzny, gdyż naród to Polska. Pojęcie takie przeistoczyło się od czasu, gdy przybył do Rychwałdu kierownik szkoły, gorliwy krzewiciel oświaty, kochający lud; wlewając w dusze dzieci szkolnych miłość Ojczyzny, zyskał to, że ludność, w miarę powstawania nowych pokoleń, coraz więcej świadomieje i uznaje potrzebę odradzania się przez środki oświatowe. — Najlepsze w tym względzie świadectwo daje to, że lud tutejszy, stojący pod względem rozwoju rolnictwa dosyć wysoko, pomyślał już o założeniu czytelni, bogatej w pożyteczne książki i liczne czasopisma a nawet bliskiem jest urzeczywistnienie powstania teatru i chóru włościańskiego. Lecz, jak niema człowieka bez »ale«, tak też i w Rychwałdzie lud bez karczmy obejść się nie może; wystawiono na ten cel i budynek i postarano się o koncesyę.

Dziatwa szkolna, której wychowanie wszyscy mieć powinni na oku, przygotowuje się do uroczystego obchodu rocznic narodowych: Krasińskiego, Konstytucyi 3 Maja, Hugona Kołłątaja itd., by dać dowód, że serduszka ich biją razem z kochającemi sercami narodu polskiego. O dzieci te winniśmy się starać, jeśli chcemy zostawić im w testamencie hasło: Jeszcze Polska nie zginęła. Gdy dziatwa nasza pozna historyę naszej Ojczyzny, gdy Polskę ukocha, gdy oświatę umiłuje, ze wstrętem zniszczy wszystkie placówki, które czyhają na zgubę duchową i fizyczną jednostek. Wróg ten — to alkohol! Rychwałdzianie! do boju z nim!

(J. K.) **Śmierć z powodu fasoli.** Gospodarza Samyka, zamieszkałego w Olesku, spotkał nieszczęśliwy wypadek. Starsze jego dziecko, mające 4 lata, bawiło się ziarnkami fasoli. W czasie swej niewinnej zabawy włożyło jedno ziarnko w usta, które wtedy, gdy dziecko chciało jakieś słowo wypowiedzieć, dostało się do przewodu oddechowego, powodując silny kaszel, dziecko posiniało i niedługo oddało Bogu ducha. Smutny to wypadek, ale zarazem pouczający, ażeby dzieciom nie pozwalać bawić się ziarnkami fasoli lub też grochu, bo już wiele było przykładów świadczących, że dziecko przez włożenie ziarnka do ust, nosa lub ucha zeszło przedwcześnie ze świata ze szkodą dla społeczeństwa, lub zostało kaleką na całe życie. Rodzice! Jeżeli więc wam dzieci wasze są miłe i drogie, to strzeżcie je na każdym kroku, bo one, nieświadome rzeczy, mogą wiele złego sobie i wam uczynić, a za wszystkie ich uczynki wy kiedyś przed Bogiem odpowiadać będziecie, bo On wam powierzył pieczę nad niemi.

(K. K.) **Ciepła zima.** W powiecie strzyżowskim bieżąca zima jest bardzo dziwna. Cały grudzień ubiegłego roku był ciepły i śniegu nie było, spadł dopiero po świętach Bożego Narodzenia. Później były przez kilka dni wielkie mrozy. Teraz zaś cały luty był ciepły, a ubiegłego tygodnia było tak ciepło, że wszystek śnieg stajał, tylko gdzieniegdzie leży po wielkich dołach.

(W. G.) **Pożar.** W gminie Bielany dnia 22 lutego o godz. 11 w nocy spalił się dom gospodarza Józefa Kowalskiego. Sikawka gminna, która przybyła na miejsce pożaru, nie ugasiła go, gdyż woda w beczce była zamarznięta.

Kąpiele w zimie. Kilku młodych ludzi w Monachium, w Bawaryi, którzy przez lato kąpali się razem w pewnym stawie za miastem, postanowiło swój czas kąpielowy przedłużyć na cały rok. Nie zaprzestali też kąpieli nawet w późnej jesieni, nie zaprzestali nawet wtedy, gdy przyszły śniegi i mrozy ostre. Nawet przy 10 – 12 stopniach mrozu chodzą codzień za miasto, rozbierają się zupełnie i urządzają sobie kąpiele słoneczne na śniegu, poczem pluskają się wesoło w napół zamarzłym stawie. Gdy staw pokrył się w styczniu grubą powłoką lodową, kazali sobie wybić obszerną przerębel w lodzie.



Młodzi ludzie wyglądają doskonale i cieszą się zdrowiem. Dodać należy, iż woda w zimie jest nieporównanie cieplejsza od powietrza. Albowiem podczas gdy ciepłota powietrza spada nieraz 15 stopni poniżej zera, to ciepłota wody pod lodem musi być wyższą, gdyż inaczej zamarzłaby zupełnie. W ten sposób woda w zimie okazuje się dla zwolenników całorocznej kąpieli znacznie przyjaźniejszym żywiołem niż powietrze. Obrazek nasz przedstawia dzielnych Monachijczyków, kąpiących się podczas tegorocznej zimy.

(F. K.) **Ku czci Z. Krasińskiego.** Staraniem grona nauczycielskiego odbył się w szkole polskiej w Polskiej Ostrawie, na Śląsku austr., dnia 25 lutego, uroczysty poranek, ku czci Zygmunta Krasińskiego. Po słowie wstępnem kierownika szkoły p. Włodka uczniowie klasy IV i V oddeklamowali pięknie kilka utworów wieszcza, przeplatając deklamacye śpiewami.

(J. Z.) **Ofiara alkoholu.** Ten nieubłagany wróg ludzkości, którego ofiarą pada rok rocznie setki tysięcy ludzi, zażądał znowu ofiary w osobie niejakiego J. Budniaka w Kaniowie. Dnia 29 lutego, zabrawszy swój tygodniowy zarobek i odwiedziwszy po drodze kilka szynków, podążał w stanie zupełnie nietrzeźwym do domu. Nieszczęśliwym trafem dostał się na nasyp kolejowy, gdzie przejechał go pociąg osobowy, zdążający do Krakowa. Zwłoki zostały przeniesione do trupiarni w Czechowicach.

(F. K.) **Śmierć pod lodem.** We wtorek popołudniu, 27 lutego, w powrocie ze szkoły dwaj uczniowie III kl., niejaki Trębacz i Misiorowski z Ostrawy, zatrzymali się nad stawem, gdzie próbowali wytrzymałości lodu. Nieszczęście chciało, że lód skutkiem odwilży załamał się i obaj chłopcy zniknęli pod krą. Nie było nikogo dla ratunku; po paru godzinach wyciągnięto już trupy.

(F. K.) **Niedoszły samobójca.** W Białej dojrzał policyant robotnika nabijającego rewolwer. Powstrzymał go i zapytał w jakim celu to robi. Chłop przyznał się, że zamierzał publicznie odebrać sobie życie i bardzo żałował, że mu w tem przeszkodzono.

(F. K.) **Pruska gospodarka.** »Germania« Tow. akc. wyrobu cegieł w Cieszynie, składające się z samych Berlińczyków z pruskim kapitałem, zakupiło przed dwoma laty cegielnię w Ropicy obok Cieszyna, Śląsk austr., od rajcy miejskiego Mattera. Widocznie nie świetną musi być ta pruska gospodarska, skoro już dwa razy przeprowadzono sądową egzekucyę i jak wieść niesie, zanosi się na trzecią. Podobno kierownik tej fabryki cegły, poczynił jakieś malwersacye na osobistą korzyść.

(F. K.) **Niezwykła zabawa**. W ostatnią niedzielę karnawału urządziła straż pożarna w Goduszowie, na Śląsku austr., bal w sali gminnej gospody. Na zabawę zjawili się też dwaj awanturnicy, którzy wywołali bijatykę i grozili strzelaniem z rewolwerów. Dlatego straż była zmuszona wsadzić awanturników pod klucz. Wśród takich nieporządków znudziło się panom komendantom siedzenie przy kasie, więc postanowili przeliczyć pieniądze i puścić się w taniec. Głowy już ciężyły, przeto nic dziwnego, że nie wiedzieli, gdzie dają pieniądze. Nad ranem trzeba było muzyków wypłacić i tu — o zgrozo! — pieniędzy nie stało. Ktoś, dotychczas niewyśledzony, zabrał całą kwotę, wynoszącą 150 kor., dwa rewolwery, odebrane aresztowanym awanturnikom i klucz od aresztu. Widocznie znajdowało się to wszystko gdzieś w nieopatrzonem miejscu, skoro złodziej mógł spokojnie wszystko zabrać i uciec, że szukać wiatru w polu. Do troski, jak wypłacić muzyków, przyłączył się kłopot z aresztantami, których trzeba było wypuścić, a klucza nie było. Czysty zysk z zabawy był taki, że straż musiała pożyczyć sobie pieniedzy dla wypłacenia muzyki.

(F. K.) **Nieszczęśliwy wypadek**. W niedzielę 25 lutego o godz. 4 rano, zdarzyło się w szybie »Karola« w Karwinie, na Śląsku austr., nieszczęście, które pociągnęło za sobą jednę ofiarę ludzką w osobie górnika Jana Majznera. Przebieg katastrofy był następujący: Górnik, Jan Majzner, razem z towarzyszem Zorychtą wymieniali budulec w kopalni. Po zmianie budulca w krytycznem miejscu odeszli obydwaj do dalszej roboty, zostawiając za sobą wóz, na który mieli ładować kamienie. Po niejakim czasie Majzner poszedł po potrzebny wóz. Kiedy wracał do towarzysza, budulec wiszący nad nim, zaczął trzeszczeć, łamać się i przywalił górnika całą swoją masą, razem z gruzami. Nieszczęśliwca przygniotło jakie 150 cetnarów ciężaru. Zabity zostawił żonę i 10 małoletnich dzieci.

(F. K.) **Pożar**. W nocy z 24 na 25 lutego wybuchł w Frydku na Śląsku austr. ogień, który mimo ratunku straży ogniowej zniszczył i obrócił w popiół jeden dom drewniany. Przyczyna pożaru nieznana.

Cyrk w rzece. O strasznym tym wypadku donoszą z Węgier: Towarzystwo cyrku wędrownego pragnąc udać się z Pancsowy, na Węgrzech, do Semlina, postanowiło przeprawić się na tratwach przez Dunaj, pomimo, że przez całą szerokość rzeki płynęła kra gęsta. Na trzech tratwach ustawiono wozy i menażeryę cyrkową i ruszono w drogę. Niebawem jednak ogromna kra uderzyła w pierwszą tratwę tak silnie, że tratwa przechyliła się mocno i zaczęła tonąć. Na widok ten ludzie znajdujący się na innych tratwach, chcieli pospieszyć na pomoc towarzyszom, wskutek jednak zamieszania i te tratwy straciły równowagę. Wozy i klatki z dzikiemi zwierzętami zaczęły osuwać się do wody. Straszna walka o życie powstała na środku rzeki. Zwierzęta, usiłowały, rycząc, wydostać się z klatek, ludzie chwytali się tonących szczątków lub usiłowali przywrócić równowagę tonącym tratwom. Wysiłki te jednak były bezskuteczne. Wszystkie tratwy z całem urządzeniem cyrkowem i zwierzętami poszły na dno. Z ludzi zaś utonęły 3 osoby. Reszta dotarła do brzegu w stanie opłakanym, straciwszy cały swój dobytek.

Matka siedmiu oficerów. Cesarz nadał wdowie po jenerale, niejakim Lunzerde, order Elżbiety II klasy, chcąc ją w ten sposób odznaczyć za to, iż wydała na świat siedmiu synów, z których sześciu są oficerami armii austryackiej w stanie czynnym, siodmy zaś oficerem rezerwowym.

Zwiastuny wiosny. Z różnych stron Poznańskiego donoszą o zjawieniu się tam szpaków. Rolnicy wnoszą stąd, że wiosna rozpocznie się wcześnie.

Zagrożona wieś. Olbrzymi odłam skalny, objętości około 800 metrów sześciennych, grozi oderwaniem się i zniszczeniem wioski górskiej w Tyrolu, Deutschhofen. Wobec tego władze przedsięwzięły środki ratunkowe.

Szaleństwa maryawickie. Pisaliśmy niedawno o szalonych maryawitkach, które chciały »biskupa« Kowalskiego ukrzyżować. Podobno powód do tego był następujący: Kowalski miał udowadniać w swoich kazaniach, że po swej śmierci zmartwychwstanie, podobnie jak Chrystus. Niektóre z gorętszych maryawitek wzięły te słowa bardzo do serca i powzięły myśl natychmiastowego ukrzyżowania go, aby tem dać dowód prawdziwości jego słów.



Tego rozumowania babskiego Kowalski uznać nie chciał. Dał więc wymijającą odpowiedź, twierdząc, że nie przyszła jeszcze chwila, w której »odkupiciel« uda się do nieba. Wymówki te jednak nie pomogły. Tłum przyniósł przygotowany widocznie już dawniej krzyż drewniany, i już miał przystąpić do wykonania swego zamiaru, gdy na szczęście policya jeszcze na czas uwolniła »odkupiciela« z ciężkiego położenia. Rycina nasza przedstawia to niezwykłe zdarzenie, malujące tak wyraziście obłęd maryawicki.

Konkurs na... wykrzywianie gębą. Pewien tygodnik rosyjski ogłosił ciekawy konkurs na wykrzywienie twarzy jak najzabawniejszym grymasem. Pomimo, iż nagrodę wyznaczono niewielką, bo tylko 50 rubli, konkurs miał ogromne powodzenie. Pismo cieszy się, że pomysł jego znalazł żywy odgłos i po całej Rosyi wykrzywiano gęby na hasło dane przez pismo, nadsyłając mu mnóstwo fotografii niezwykłych »grymasów«.

„Zaczarowana“ chałupa. Na Kujawach, pod zaborem pruskim, mieszkańcy wsi Rzadka Wola opowiadają o »zaczarowaniu« chałupy. Do włościanina Dorsza zgłosił się z probą o jałmużnę żebrak-młynarczyk. Włościanin, zajęty pracą, odmówił, za co młynarczyk miał jakoby rzucić czary na dom Dorsza. Od tego czasu wszystkie przedmioty w mieszkaniu Dorsza podobno poruszają się dowolnie, przenosząc się z miejsca na miejsce. Opowiadania te oczywiście złożyć należy na karb przesądów ludu tamtejszego, nikt bowiem »zaczarować« chałupy nie może.

Modlitwa przed bitwą. Wojska włoskie rozpoczynają każdą większą bitwę uroczystem nabożeństwem polowem, które jest podobne do nabożeństw u nas, w czasie pokoju przez wojskowość urządzanych, z tą tylko różnicą, że wszyscy żołnierze po takiem nabożeństwie nie udają się do domu, lecz na pole bitwy.



Obrazek nasz przedstawia właśnie jedno z takich nabożeństw dla armii włoskiej na piaskach Trypolisu, w którem wzięło udział 12.000 piechoty, 4000 kawaleryi, oraz artylerya z kilkudziesięciu działami.

Wesoły pogrzeb. W mieście Modigliano, we Włoszech, zmarł przed kilku dniami handlarz koni, nazwiskiem Maldo Samori. W testamencie przeznaczył 20 tysięcy lirów na miejscowy szpital, ponadto wyraził życzenie, aby na pogrzebie postępowała za trumną orkiestra, grając same marsze i wesołe melodye. W orszaku żałobnym miał się znajdować również wielki wóz, naładowany beczkami wina, przeznaczonego dla uczestników pogrzebu. Co dwieście metrów miał się kondukt, wedle życzenia zmarłego, zatrzymywać, by publiczność biorąca udział w pogrzebie, mogła się na dalszą drogę pokrzepić. Wykonawca tego szalonego testamentu, musiał się zobowiązać jeszcze za życia zmarłego, że zastosuje się dosłownie do ostatniej woli Samoriego, pogrzeb więc sprawiał raczej wrażenie zabawy weselnej. Podpita publiczność śpiewała uliczne piosenki i tańczyła, wznosząc okrzyki na cześć pomysłowego nieboszczyka. Oczywiście duchowieństwo katolickie nie uczestniczyło w tym pogańskim pogrzebie.

Uczone ptaki. Pod względem zdolności umysłowych nie ustępują ptaki wcale zwierzętom ssącym, a niektóre z nich przewyższają je nawet rozumem. Pewien ksiądz francuski opowiada, że rodzice jego mieli kosa, który nietylko śpiewał zimą i latem, ale także w nocy i z łatwością wyuczał się rozmaitych piosnek. Gdy ksiądz ów grał na fortepianie, siadał ptak na instrumencie, słuchał uważnie, a potem śpiewał za muzyką. Po takiem kilkakrotnem ćwiczeniu przyswajał sobie całą melodyę i świstał ją potem sam. Przy obiedzie siadał zwykle na ramieniu gospodarza i przyśpiewywał mu swoje piosenki. Większą jeszcze uczonością odznaczała się sroka pewnego właściciela łaźni, gdyż odmawiała po łacinie cały skład apostolski i litanię do wszystkich świętych. — Pewien kardynał kupił za 200 talarów papugę, która recytowała wyraźnie i bez pomyłki wszystkie dwanaście artykułów wiary. Papuga pewnego opata we Francyi odmawiała co rana Ojcze nasz po łacinie. Gdy młodsi zakonnicy zmylili co w śpiewie, schylała głowę ku ziemi, przyciskała dziób do piersi i wołała: »O mea culpa, mea culpa« (o moja wina, moja wina). A gdy znowu dobrze śpiewali, mówiła: »Deo gratias« (Bogu dzięki).

Rabunek przy pomocy bomby. Na niezwykłe sposoby biorą się złodzieje. Oto w jednem z miast pod Paryżem dokonało czterech rabusiów rabunku sklepu jubilera w sposób niezwykły. Oto rzuciwszy przez okno bombę do sklepu, skorzystali z zamieszania wywołanego przez wybuch i pochwyciwszy kosztowności, wystawione w oknie, uciekli na pozostawionych w pobliżu rowerach. Kilka osób rzuciło się w pogoń za rabusiami, odstraszone jednak strzałami z rewolwerów, zaniechały pościgu. -- Wybuch zniszczył całe wnętrze sklepu.

Prababki. W mieście Libourne, we Francyi, w tych dniach urodziła się dziewczynka, której matka niedawno ukończyła 16 rok życia, babunia zaś liczy 33 lata, prababka 53, praprababka 71 lat, a prapraprababka 88 lat. Wszyscy ci przodkowie żyją i żałują, że do obecnej uroczystości familijnej nie dożyła praprapraprababka, zmarła niedawno, bo w listopadzie 1911 roku.

„Żelazne gody“. Nie często się zdarza, aby małżonkowie obchodzili »żelazne gody« czyli 70 lecie swego pożycia. Danem było doczekać tej uroczystości państwu King Charlton w Anglii. W parę dni po weselu 92-letnia żona zgasła we śnie. Wdowiec był niepocieszony. Nazajutrz miał sen, że zamiast jednej, kopią dwie mogiły. Prosił by się wstrzymano z pogrzebaniem żony. Jakoż sen sprawdził się. W dwa dni potem 94 letni King ducha wyzionął. Oboje spoczęli obok siebie na zawsze.

Zamarznięte wodospady. Ostra zima w styczniu i początkach lutego dała się w Ameryce północnej bardzo we znaki. W północnych stanach i Kanadzie szalały straszne burze śnieżne, olbrzymie śniegi pokryły całą przestrzeń od źródeł rzeki Missisipi aż hen na północ. Ogromne jeziora i rzeki ścięte grubym lodem, więziły mnóstwo parowców i łodzi, które przez szereg miesięcy nie mogą się poruszać, unieruchomione przez lód. Nawet słynne wodospady rzeki Niagary, mimo potwornej siły spadu, tego roku zamarzły.



Jak opowiadają gazety amerykańskie, widok zamarzłych wodospadów jest niezwykle piękny. Setki mieszkańców bliższych i dalszych miast, korzystając z wspaniałych stoków śnieżnych, okalających wodospad, docierają aż pod same zwały lodowe i podziwiają ten niezwykły cud przyrody. Obrazek nasz przedstawia zamarznięte wodospady Niagary.

Zrośnięte siostry. W Afryce południowej pewna murzynka powiła córki bliźnięta, zrośnięte ze sobą piersiami i brzuchem; dzieci podobno są zresztą zdrowe, lecz niema mowy o ich rozłączeniu. Życie takich dzieci, jeśli się uchowają, będzie bądź co bądź bardzo opłakane. W Poznańskiem żyją również dwie siostry zrośnięte ze sobą, Róża i Józefa Błażkówny.

Sprytny szewc. W Wilkes Barre, małej miejscowości w Pensylwanii w Ameryce, żył do niedawna niejaki Mac Dewitt, z zawodu szewc, który rzuciwszy jednak w kąt kopyto i dratwę, oddał się polityce. Posiadając dar żywej wymowy, zgłosił niedawno kandydaturę swą na posła, co przyniosło mu

niebywały zysk. Zaledwie bowiem zwołał Dewitt zgromadzenie, na którem zamierzał wygłosić swe polityczne zapatrywania, zjawił się u niego inny kandydat, człowiek zamożny, który postawił ubogiemu szewcowi propozycyę zrzeczenia się kandydatury na jego rzecz, za co ten ostatni ofiarował mu 10.000 dolarów. Dewitt nie ociągał się zbyt długo i propozycyę przyjął. Po otrzymaniu pieniędzy przewróciło mu się w głowie. Odłożywszy 5000 dolarów postanowił za drugą połowę zabawić się w milionera. — Wynajął umyślny pociąg, liczną służbę i w ten sposób dojechał do Nowego Jorku, gdzie zamieszkał w prześlicznej willi. Odłożona suma niedługo wystarczy szewcowi, lecz Dewitt zupełnie się tem nie trapi. Oświadczył on znajomym, iż wyczerpawszy wszystkie pieniądze, każe się do ojczyzny odstawić szupasem. Potem znowu będzie kandydował, znów za zrzeczenie się dostanie odprawę i znowu zabawi się w milionera.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Stefan Kaźmierz w K.: Niedobrze Pan pamięta. Porównaliśmy naprzykład notatki o psach policyjnych i możemy donieść, że to co było opisane w r. 1911 działo się na Morawie, na jarmarku, a to co było teraz opisane w Nr 8 stało się w Wiedniu, na strychu. Trzeba zawsze dobrze wiedzieć i namyśleć się, zanim się chce coś twierdzić na pewno. — Jan Rzepa w L.: Szczerze wdzięczni jesteśmy za miłe słowa uznania. Każdy taki list dodaje ochoty do pracy i wlewa w serce otuchę, że przecież kiedyś zniknie zawiść społeczna i wzajemne ujadania. — Władysław Sioło w L.: Utworów dramatycznych nie będziemy w »Roli« drukowali, gdyż brak na to miejsca. Dobre prace przyjmie chętnie »Tow. chórów i teatrów włośc.« we Lwowie. Za obietnice dziękujemy. — Arkadyusz Szarek w S.W.: Wierszyki otrzymaliśmy. Na list odpowiemy w wolniejszym czasie. A możeby wiadomą rzecz tak bez mundurku? — Fr. Zydroń w W.: »Z krwawych dni« schowaliśmy do Kalendarza; inne rzeczy będą, ale kiedy, to trudno oznaczyć, gdyż wierszy mamy bardzo dużo a miejsca na nie bardzo mało. Zagadki dobre. — Tomasz Z. w Głowience: Na listy bez podpisu nazwiskiem nie odpowiadamy, be kto pisze coś a sam potem tego się wstydzi, to trudno abyśmy my brali to sobie do serca. — Władysław Wołowiec w S.: Humoreskę otrzymaliśmy. St. Winkowski w P.: »Testament cygana« zużytkujemy. — Marya Klepacka w S.: Szarady dobre, ale prosimy pisać po jednej stronie, gdyż połowa ich przepadnie. — Piotr Kędzierski w P.: Na koszta przesyłki należy się 60 h. — Tomasz Rachwalik w K:: Aby umieścić ogłoszenie Pańskie o pszczołach, musiałby pan za każdy raz zapłacić 1 koronę, gdyż ogłoszeń bezpłatnie nie umieszczany. — J. Krzeptowski w K.: Na numer Pański nie podła żadna wygrana. — Fr. Markiewicz w S.: »Podziękowanie za los szczęścia« wierszem było dobre i dla nas bardzo pochlebne, ale brak miejsca nie dozwolił wydrukować. — Franciszek Krzanowski w J. p.: Artykuł otrzymaliśmy — umieścimy nieco później. — Kazimierz Irzykiewicz w Sz.: W nadesłanym wierszu brak rymu, przeto drukowany nie będzie. — Józef Bortlik w B;: Umieścimy. Kalendarze posiadamy jaszcze i po otrzymaniu należytości natychmiast wysyłamy. Rudolf Chlebowczyk w S.: Wierszyki dość udatne, więc schowamy je do druku; kiedy jednak będą drukowane trudno oznaczyć, gdyż wierszy w tece mamy bardzo dużo. — Bartłomiej Rosiek w B.: Powiastkę otrzymaliśmy — będzie później. »Chłopi« kosztują kilka rubli; do druku w »Roli« jest to rzecz zadługa a ponadto niektórzy mniej oświeceni czytelnicy wzięliby to za drwiny z chłopa, jak są dziś tacy, którzy pogadanki Maćka Bzdury, wytykające wady niektórych ludzi, biorą za drwiny z włościan. — Józef Zborowski: W nadesłanych utworach myśl niezła, cóż kiedy brakuje rymu, a bez niego wiersz nie jest wierszem. Możeby Pan próbował coś prozą napisać?... — Kazimierz Rogucki: »Cześć przodkom« może być drukowane, ale nieco później. — Antoni Żelazny z R.: Zagadek mamy tak wielką liczbę, iż trudno wszystkie umieścić. Pańskie, jako zupełnie dobre, wszystkie powoli pójdą. — Józef Groń z J.: Los padł właśnie na pański numer. — Jan Kraus w M.: Okładek na kredyt nie wysyłamy — można należytość przysłać markami. — Józef Nowak z W.: Za zmianę adresu należy się 40 hal. — Albert Kempny z W.: Dziękujemy serdecznie za życzliwość. Roczników z 1909 r. nie posiadamy. — Jan Kraus z M.: Za numera należy się 50 h. — Stanisław Kurek z B.: Od nas wychodzą numera w zupełnym porządku, nie wiemy z jakiej przyczyny otrzymuje Pan zniszczone. — I. Adamczykówna z R.: Należy się 20 halerzy. — Michał Wojnarowicz w S.: Na przesyłkę trzeba nadesłać 72 hal. — Walenty Pasierb w Cz.: Otrzymaliśmy — wierszyk trochę spóźniony. — Jędrzej Stawowy w U.: Zbyt znane, więc nie do druku. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Prace Pańskie chowamy do teki — powoli pójdą. Walenty Miśniak w P.: Za tak piękne i miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. Wierszyki niezłe, więc z pewnością będą drukowane, gdy tylko miejsce pozwoli. Łączymy pozdrowienia i prosimy o pamięć. — Jan Szeliga w M.: Odpowiedzieliśmy listownie.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Ułożył Kazimierz Drzewicki).

Dwie istoty, jedno żyje, drugie nie
Jedno lata na szyi, drugie w szyję tnie
Nazwa jednaka, lecz wielka różnica
Jedno ma łeb mały, drugie jak donica
Obydwa, gdy lecą, to huczą po drodze.
Jednym dzieci się bawią, drugie kasze srodze.

2. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Tomasz Dziewit).

Na, cie, du, mi, w, e, cie, kto, szu, le, ka. chło, gło, się, r, du, pi, zi, w.

Te zgłoski i litery tak ułożyć, aby dały znane przysłowie polskie.

3. ZAGADKA.

(Ułożył Franciszek Kapałka).

Co za rzecz? Jestem ciecz!
A zaś wspoa — czarny ptak!

4. SZARADA.

(Ułożył Kazimierz Rogucki).

Drugie z trzeciem — to rzemieślnika narzędzie,
Połowa pierwszego i trzecie u każdego rolnika będzie
Pierwsze z drugiem — czynność całości niech będzie,
Która niechętnie widzicie i bardzo się ich boicie.

5. SZARADA.

(Ułożył Tomasz Kołkowski).

Na drzewie jest pierwsze drugie;
Ja nie kłamię, bo to grzech;
Pierwsze trzecie czasem draśnie,
Całość zaś składa się z trzech.
Jaką zaś ozdobę znaczy
Zmilknę, każdy zaś wybaczy.

6. SZARADA.

(Ułożyła Marya Klepacka).

Pierwsza wstecz zwyczajna głoska,
Druga (również wstecz)
Znajdziesz wiele pośród dziewcząt —
Więc nie trudna rzecz.
Trzecia rzeka to wspaniała,
Strumień wszystkim znan;
Całość suknia — zawsze czarna,
Proszę! zgaduj pan!...

7. ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

(Ułożył Andrzej Boroń).

A, a, a, a, a, a, a, b, c, c, ę, g, h, h, i, k, l, l, ł, n, o, ó, r, r, s, t, t, w, y, z, z.

Z powyższych liter ułożyć znane przysłowie polskie.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 16 marca 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 8 »Roli«: 1. Zagadka: **Rola.** 2. Szarada: **Kamienie.** 3. Szarada: **Zapałka.** 4. Łamigłówka literacka: **Adam Mickiewicz — Sonety krymskie.**

* * *

Wierszem nadesłali rozwiązania PP.: Jan Małkowicz z G., Katarzyna Nawrocka z K., Marya Janusz z L. (wierszyk ładny — niestety brakło nam miejsca), Józef Adamczyk, Walenty Pasierb z Cz., Jan Bylica z P., Antoni Ziemiński z K., Kazim. Rogucki, Kozioł z T., J. Kulka z B., W. Miśniak z P.

Oprócz tego dobre rozwiązania nadesłali: Wład Brozyna z S., Franc. Klocek z N. T., Józef Pękala z H., Fr. Markiewicz z S., Józef Antoni Byłow z M., Wład. Głogowski z B., Wład. Wołowiec z S., Czytelnia pol. Zeniów., Józef Waszek z J., Feliks Wolański z D., Rudolf Kula z M. K., Jan Przewłocki z Ż., Adela Bezokówna z K. M., Franc. Machej z G. S., Tomasz Kolkowski z S., Jan

Dobry apetyt! Zdrowy żołądek mamy, a żadnego gniecenia żołądka, żadnych bolesci, odkąd używamy przeczyszczających pigułek rąbarbarowych Fellera z marką „Elsapillen". Mówimy Wam z doświadczenia, sprobójcie takowych także, one regulują stolec, ułatwiają trawienie, przeciwkurczowy i też krew polepszający. 6 pudełek franko 4 K. Wytwórcą jest tylko aptekarz E. V. Feller, w Stubicy, Elsaplatz Nr 260. Kroacya.

Ozga z K., Franciszek Teper z K. M., Karol Powroźniak z S, J. Helena Łukasiewicz z J., Zofia Pawłowska z Z., Karol Kuntschke z M. K., Koło Macierzy szkol. z S., Jan Spławiński z J. p., Józef Czader z J., Kazimierz Kowalski z K., Fr. Puk z Ł., Henryk Bilko z S., Karol Żyła z F., Władysław Burghardt z S., Franciszek Sojska z Z., Antonina Barnasiówna z M. K., Józef Gasiński z B., Stanisław Aseńko z J., Józef Łyszczak z K., Galacz Damian z K., Jan Świątek z P., Marya Synowcówna z S., Kazimierz Szeliga z B., Jan Rzepa z L., Ignacy Byrski z K., Józef Paź z K., Jan Filarowski z Z., Józef Zborowski z L., Józef Walatek z R., »Z. St. C.«, Marya Klepacka z S., Antoni Dutkiewicz z S., Michał Dudek z Ż., I. Talaga z S., Leonard Stanczyk z T. Piotr Walczak z G., Jadwiga Ogniewska z K., Barbara Palichleb z S., Piotr Świrad z Cz., Nikodem Podgórski z Z., Jan Kobylski z K. G., Firla Franciszek z G. S., Piotr Bochnia z T., Andrzej Knurowski z N. T., Antoni Kasperlik z Z., Franc. Siekaniec z D., Walenty Pietrucha z Rz., Wojciech Szczygieł z G., Stanisław Garzeł z B., Kazimierz Drzewicki z N., Edmund Ćwiakalski z N., Józef Gasior z S., Jakób Markiewicz z S., Wojciech Szocik z D., Władysław Dubaj z J., Józef Maziarz z Z., Jan Bożek z J., Jan Baron z N., Marya Radlmesserówna z S., Jan Moś z Cz., Jan Kaizer z J., Antoni Kościelny z Szcz., Bartłomiej Rosiek z B., Dziewit Tomasz z M., Franciszek Zdroń z W., Józefa Hirszberg z K., Józef Jarmuła z Z., Paweł Juroszek z L., Adam Zieliński z M., Władysław Wroński z R., Józef Walatek z R., Adam Jesionek z Ch., Antoni Żelazny z R., Marcin Mirek z J., Józef Fornol z O., Janina Midowicz z S., Fr. Kelner z P, Jan Musiał z P.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Iskierki*** wylosowała **Czytelnia polska w Zeniowie,** zaś drugą p. t. ***Król przestrzeni*** p. **Antoni Ziemiński** z S.

Potwierdzenia prenumeraty.

Całoroczną prenumeratę nadesłali PP.:

Michał Szpak z T. 4 — Winc. Pasierski z D. 4 — Robert Horzinka z B. 4 — Kółko rol. z F. 4 — Maksymilian Godzik z K. 4·50 — Maciej Makara z P. 4·50 — Czytelnia z Ł. 4 — »Nowy Dzwon« z C. 5 — Szczepan Majewski z H 4 — Franc. Drobek z R. 4·50 — Marcin Niemiec z R. 4·50 — Franc. Klepacki z S. 4 — Michał Leśkiewicz z Ł. 4 — J. Łysakowski z G. 4·50 — Kółko roln. z J. 4 — Karol Bernaś z M. 4·50 — Antoni Kurowski z O. 4·50 — Adam Dorosz z W. 4·50 — Karol Kordaski z W. 4·50 — Grzegorz Prokulewicz z W. 4·50 — Czytelnia polska z W. 4·50 — Czytelnia polska z T. 4·50 — Piotr Świątkowski z K. 4·50 — Franc. Chudy z T. 4·50 — Adam Gawlicki z O. 4·50 — Paweł Chrzanowski z D. 4.50 — Michał Kononowicz z D. 4·50.

Adam Furlok z R. 2 K., Szczepan Krzysik z O. 2 K., Andrzej Kubowiec z P. 2 K., Franc. Sulik z R. 2 K., Józef Golcyk z D. 2 K., Stan. Długosz z K. 2 K., Józef Szendrakowski z M. 2 K., Joanna Gerunt z M. 2 K., Franc. Roszkowski z S., 2 K., Cypryan Ptak z N. 1 K., Stan. Jocher z M. 2 K., Jan Bolechała z Z. 1 K., Paweł Jeleń z F. 2 K., Józef Waloszek z C. 2 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 5 marca

Pszenica	Kor.	11·45	do	11·90	za 50 kg.
Żyto	„	9·75	„	10·40	„
Jęczmień	„	10·10	„	10·50	„
Owies	„	10·—	„	10·50	„
Otręby pszenne	„	7·60	„	7·70	„
Otręby żytnie	„	7·60	„	7·60	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 5 marca:

Buhaje	Kor.	160	do	29[illegible]	za sztukę
Woły	„	300	„	400	„
Krowy	„	140	„	320	„
Jałówki	„	130	„	160	„
Cielęta	„	30	„	70	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie bita waga)	„	130		146	za 50 kg

MOJE STARE
doświadczenie poucza, by używać do mycia tylko Steckenpferd-Lilienmilch-seife Bergmana i Spki w Tetschen n/Ł. Sztuka 80 hal. Wszędzie do nabycia.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

ZJEDNOCZONE AUSTRYACKIE TOWARZYSTWO ŻEGLUGI PAROWEJ

Austro-Americana

Regularna i



bezpośrednia

komunikacya z Austryi do **Ameryki północnej**: **(Stany Zjednoczone i Kanada);**
do Ameryki południowej: Argentyny, Brazylii i t. d.
w ruchu osobowym i towarowym zapomocą najnowszych, pierwszej klasy parowców o podwójnej śrubie.
Na parowcach aparaty telegraficzne bez drutu, systemu Marconiego.

Informacyj udzielają i sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają:

Dla zachodniej Galicyi i Bukowiny:
Kraków: Jeneralna Ajencya Austro-Amerikany (Goldlust i Ska. Biuro spedycyjno-komisowe) ulica Lubicz 7 naprzeciw dworca kolejowego.
Dla Galicyi wschodniej:
Lwów: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany Na Błonie 2. oraz wszystkie prowincyonalne ajencye, następnie
Tryest: Dyrekcya Austro-Amerikany, Via Molin Piccolo 2.
Wiedeń: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany, II. Kaiser Josefstr. 36. 114
Jeneralna Ajencya Austro-Amerykany Schenker i Ska.

ROZKŁAD JAZDY

a) z Tryestu do Nowego Jorku:

Oceania . . . . 9 marca
Atlanta . . . . 12 marca
Laura . . . . . 16 marca
Columbia . . . . 23 marca

b) z Tryestu do Argentyny:

Martha Washington 7 marca
Francesca . . . 21 marca

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.